

30.

DWIE GAWĘDY Z PRZESZŁOŚCI.

Dra Antoniego J.

Zarząd
Krajowej szkoły szewskiej
w Kołomyi.



FIGIEL KONFEDERACKI.
OFICYALISTA
STAREGO AUTORAMENTU.

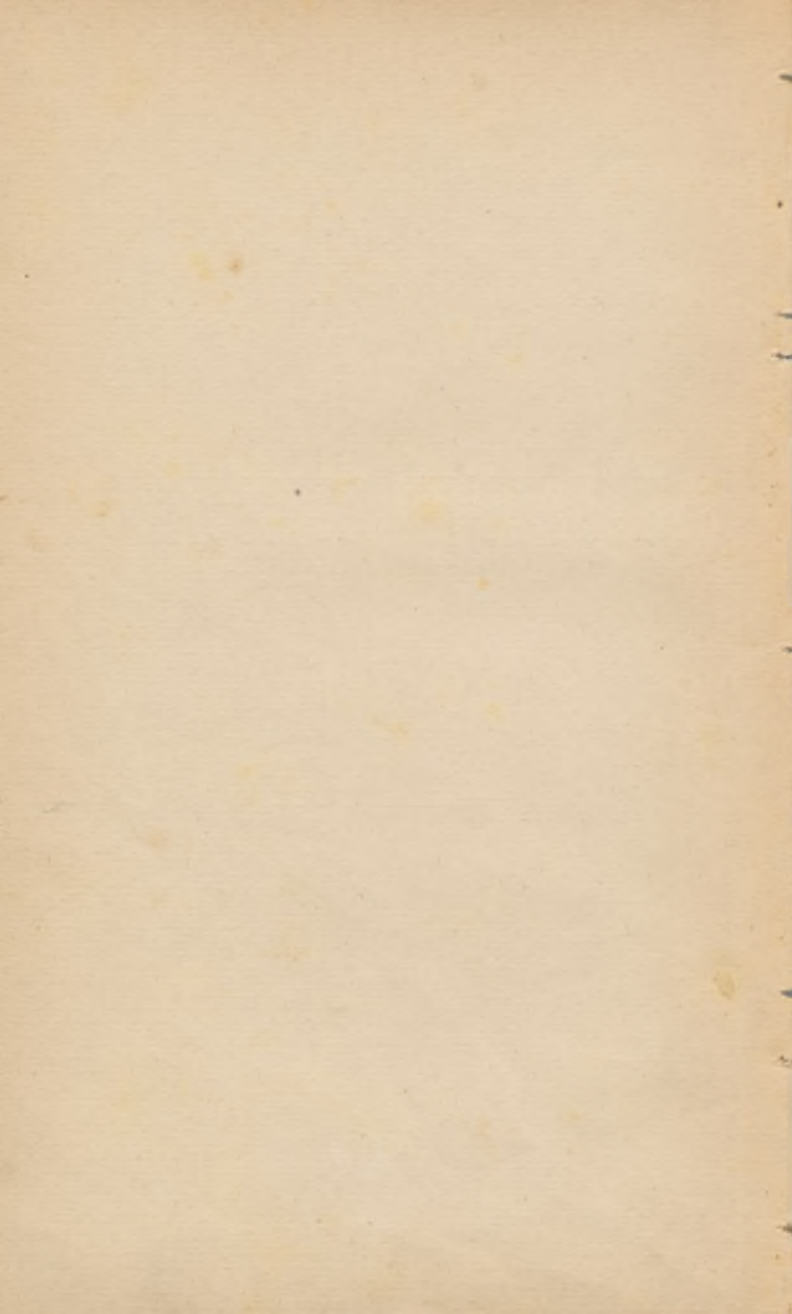
WE LWOWIE.

Skład główny w księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu Katedralnym.

1893.

CZYTELNIA DOMOWA.

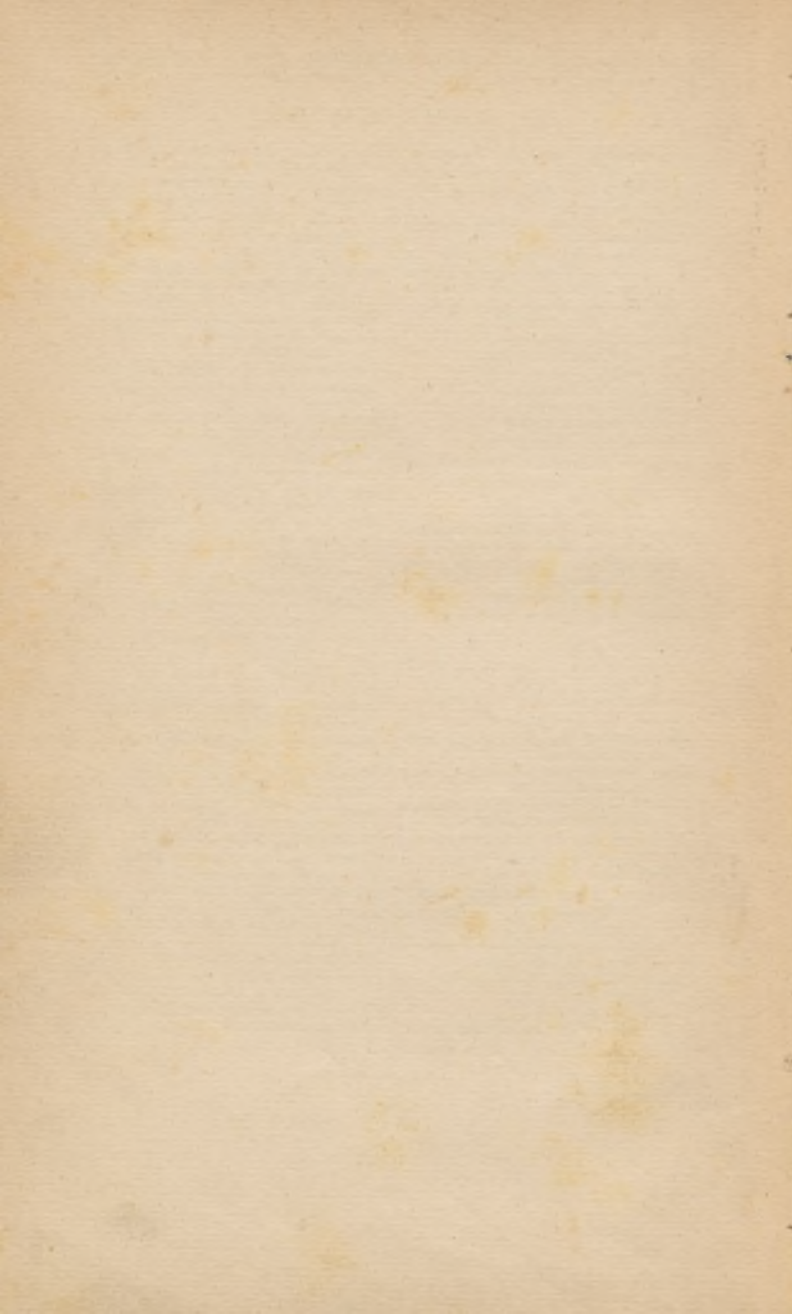
III.



W Bibliotece powieści, podróży, pamiętników i opowiadań historycznych

wyszło dotychczas:

- Ainsworth W., *Crichton*. 2 tomy.
 Bersezio W., *Rina*, romans włoski.
 Berthoud, *Poświęcenie kobiety*.
 Brackel F., *Nora*.
 Bulwer L., *Kienzi*, ostatni trybun rzymski.
 Bronikowski A., *Powieści histor. : Kazimierz Wielki i Estera Moira*.
 — *Jan III. Sobieski i dwór jego* 2 t.
 Cabarello, *Klemencya*, pow. hiszp.
 Carcano J., *Angiola Marya*.
 Carlen F., *Rok zamęzcio*.
 — *Kapryśna kobieta*. 3 t.
 — *Bracia mleczni*. 2 t.
 — *Róża z Tistelenu*. 2 t.
 Collins W., *O zmioku*.
 — *Panna czy pani?*
 Conscience H., *Tatizman*.
 Cooper J. F., *Ostatni Mohikanin*. 2 t.
 — *Pionierowie nad brzegami Suskehany*. 2 t.
 Dickens, *Klub Pickwicka*.
 Ebers G. Dr., *Córka króla egipskiego*.
 — *Serapis*. Romans histor. 2 t.
 Edwards A. B., *Tysiąc mil na falach Nilu*, 2 tomy.
 Enault K., *Przeznaczenie*
 Feliński K., *Paulina, córka Ewy Felińskiej*.
 Fenilét O., *Historja Paryżanki*.
 Gerstäcker F., *Regulatorzy w Arkanzas*.
 Goeranyous K., *Synowie Barona*.
 Gryzoń, *Wojewódzic*, 2 t.
 Hacklaender F., *Burzyk*, powieść z nad jeziora.
 Z hr. Łosiów bar. M. Hagen. *Z życia*. Nowelle.
 Horain. *Z życia poety*. Wspomnienia o Władysławie Syrokomli.
 J. Antoni Dr. ks. S. Chołoniewski *Opis podróży kijowskiej*.
 James II., *Amerikanin*, 2 t.
 Jokaj M., *Nowy dziedzic*. 2 tomy.
 — *Serce kamienne*. 3 tomy.
 — *Powieści pomniejszych*.
 — *Bielica lwoczańska*: 2 tomy.
 — *Biedni bogacze*. 2 tomy.
 Kraszewski J. I., *Na cmentarzu, na wulkanie*.
 — *Pan z Panón*.
 — *Złoto i Błoto*, powieść. 3 t.
 Kubala L., *Jerzy Ossoliński*, 2 tomy.
Książniczka z Minstembergu, powieść hist. z XIV. wieku.
 Lam Jan, dzieła: *I. Wielki świat Capric*; *Kolonizator w Galicyi* — *II. Idealisci*. — *III. Dziwne kawyery*. — *IV. V. Głowy do pozłoty*. 2 tomy.
Listy Jana III. króla polskiego do królów Kazimiry w ciągu wyprawy pod Wiedeń 1803 r.
 Niemcewicz J. N., *Jan z Tenczyna*.
 Pieńkowski K., *Powieści*.
 — *Pomyłka serca*.
 Przyborowski W., *Rubin Wezyrski*.
 Reade K., *Kto chceochać, cierpieć musi*.
 Reade C. i Boucicauld D. *Skazaniec*.
 Ridderstadt C. F., *Czarna ręka*.
 Sarnecki Z., *Złote serce*, pow. 3 t.
 Sas B., *Mozaika*. 2 tomy.
 Sass Paweł, *Pamiętnik znaleziony*. 2 tomy w jednym.
 Sawicki, *Podróże po Hiszpanii*.
 Schwartz Z. M., *Namiętności*.
 — *Bratowe*.
 — *Dwój bracia*.
 — *Dus matki*.
 — *Nu rozstajnych drogach*.
 — *Ofiara zemsty*.
 — *Przygody mojego życia*.
 — *Przyszłość Gertrudy*.
 — *Wdowa i jej dzieci*.
 Sędzimir, *Książniczka z gminu*.
 Smith F. J., *Boleść i radość*.
 — *Straszna gospoda*.
 Stanley H., *Jak odszukałem Livingstona*.
 Stinde, *Rodzina Buchholzów*. 2 t.
 Szumski T., *Zmierzchy i swity*.
 Tarnowski Wl., *Archiwum Wróblewieckie*.
 Tatomir L., *Feryje alpejskie*.
 Tretiak J., *Pamiętnik Daniela*.
 Wetherell F., *Szeroki świat*.
 Wilczyński A., *Opiekunowie wdowca*.
 — *Kłopoty starego komendanta*.
 — *Nowe fotografie społeczeństwa* 2 tomy.
 Wilkońska L., *Powołanie*.
 Wilkońska P., *Na dwóch krańcach*.
 Wiśniowski S., *Powieści*.
 Yonge, *Dziedzic z Redclyffe*. 2 t.
 Zacharjasiewicz J., *Teorja p. Filipa*.
 — *Jedna krew*.



360, ✓

DWIE GAWĘDY Z PRZESZŁOŚCI

Dra Antoniego J. *prof.*
(*Rolle Andriei prof.*)



FIGIEL KONFEDERACKI.
OFICYALISTA
STAREGO AUTORAMENTU.



WE LWOWIE.

Skład główny w księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu Katedralnym.
1893.

361882

~~~~~  
Drukiem i nakładem Drukarni Ludowej we Lwowie.  
~~~~~



197025

FIGIEL KONFEDERACKI.



I.

Niespożyty humor odznaczali się ojcowie nasi! W nieszczęściu, w biedzie, wśród trosk i niewygód nie opuszczała ich werwa i pusta, nieledwie dziecinna swawola.

Z za łez, przezierał uśmiech.

Był li to odblask dawnych, dobrych jeszcze czasów, czy wynik przekonań o królewskości herbownego w Rzeczypospolitej potomka, a może wypływał on z owej wielkiej, niezwykłej w onej epoce swobody, będącej wśród państw ościennych anomalją pewnego rodzaju.

Gdzieindziej korona ledwie dawała takie przywileje, jakie każdy szlachcic polski posiadał. Prawda, że u sąsiadów baron feudalny, zamknięty w niedostępnym zameczku, mógł sobie wiele pozwalać, ale jednocześnie czuwać musiał nad własnem bezpieczeństwem, i to z bronią

dzień i noc na placówce, bo pochwycony w ręce administratorów sprawiedliwości, odpokutowywał z nawiązką; u nas, szczególnie na kopcach granicznych, hulaszcza swawola nie chowała się po za grube ściany, najeżone działami, przechażdała się w biały dzień, zarówno bezpiecznie po ulicach miejskich, jak wśród stepu, z uśmiechem zadowolenia na ustach, z podniesioną głową, pełna dowcipu i humoru.

Zbytek ten wylewał się po za krawędzie czary — i jeszcze go na smutną starczyło godzinę...

Ale jako żywo nie myślimy nawet równać naszej nieuległości prawom i przepisom ze zbrojecką drapieżnością paniąt z nad Renu; innej one zupełnie były natury. Ludzi, którzyby się kierowali żądzami hajdamackimi, nawet u ściany tatarskiej ze świecą szukać potrzeba — na osobiste zyski nie oglądano się nigdy... swawoliliśmy często, ale tak, dla fantazyi, nieraz hojnie nagradzając tych, którzy z powodu naszej swawoli ucierpieli.

Zastrzeżenie to konieczne jest — inaczej ubliżylibyśmy przeszłości.

Na dowód niech posłuży ta krótka opowieść.

Jak zawsze, tak i dzisiaj, wyprowadzając aktorów na scenę, umieścić muszę na wstępie owe konieczne czy w dramatach, czy w komedjach słowa: „Rzecz się dzieje tam a tam.“ Bez tego gawęda będzie niejasna, a choć konstrukcja jej niekunsztowna, ba, nawet zbyt pospolita, ale prawdziwością przytoczonego faktu ratuję jej formę nieudolną.

Zaręczam tylko, że was zbyt nudzić nie będę. Historyę zamknę w kilku wyrazach, nad ludźmi trochę się zastanowię dłużej.

Było to w pierwszych miesiącach Barskiej konfederacyi. Branicki spłynął na Podole jako łowczy koronny i raptem wyrósł na regimentarza. Tytułu tego udzielono mu po cichu, bo od hetmana zależała nominacya, a hetman więcej sprzyjał związkowym, wreszcie i rzeczywisty regimentarz partyi ukraińskiej czy podolskiej, pan Dzieduszycki, jeżeli się usunął z pola, to urzędu nie złożył. Że jednak szlachta miejscowa lubiła rzecz po imieniu nazywać, a tytułami rada szafowała, zwłaszcza, jeżeli szafunkiem mogła się od rabunku uchronić, więc i pan łow-

czy w jej przekonaniu wyrósł na regimentarza, bo był nim *de facto*.

Józef Stempkowski został oboźnym, albo „subalternem“ Branickiego. Regaliści tryumfowali. Bar zdobyty z pomocą Apraksina, Ukraina uspokojona przez Kreczetnikowa, który i Berdyczowską warownię wziął szturmem. Konfederatów siła zginęło, a resztki ich w końcu czerwca z starostą rożańskim, Krasieńskim i podczaszym litewskim Joachimem Potockim, przepawiły się przez Dniestr w Mohylowie, niedobitki zaś ze starostą stęgwilskim, Franciszkiem Pułaskim, zebrały się między Szerogrodem a Cekińówką, ale naparte przez królewszczan, także w Turcyi szukały schronienia.

Branicki laurami okrywał swe skronie. Za plecami miał aljanckie zastępy, przed sobą spuustoszone Podole, a na jego skraju szarą wstęgę Dniestru, za Dniestrem zaś wygnanych i tułających się rebelizantów.

Czyja dola była świetniejsza? Naturalnie, że Branickiego; a jednak słusznie powiedział poeta, że „robak gnieździ się i w wonnym kwiecie.“

W pierwszej wszakże chwili, ani król, ani zaimprovizowany regimentarz, nie dostrzegli tego. Owszem upojeni zwycięstwem, wzajemne sobie prawili grzeczności. Branicki był chudym pacholkiem, małego znaczenia człowiekiem. Stanisław August wierzył w przyjaźń, wierzył więc i w sentymenta pana Branickiego. Tak naprzykład, dowiedziawszy się, że ostatni „zbytecznie się w walkach z malkontentami i chłopstwem naraża“, zaklinał, aby się zachowywał prze-zornie.

— Nietylko proszę, ale na seryo zalecam i przykazuję — pisał król Jegomość — szanuj się, trzeba mi cię dla ojczyzny, a przy tem największe zwycięstwo nie ukoiłoby we mnie do-zgonnego żalu, gdybym najlepszego w życiu, strzeż Boże, stracił przyjaciela!“

Łowczy dziękując za te dowody łaski pań-skiej, w końcu bolejąc nad tem, że jeden z fawo-rytów królewskich, Dzierżanowski, zrobił akces do konfederacyi, woła patetycznie :

— „Byłeś, Miłościwy Panie, od osiedzenia tronu naszego arcy-łaskawy, arcy-hojny i datny, czas Miłościwy Królu być teraz groźnym, bo my daleko lepsi kiedy płaczem, niż kiedy skaczem!“

Z siebie widocznie brał wzorki.

Król jednak nie umiał być groźnym, owszem pragnął burzę zażegnać jak można najprędzej. Gdzie oni, owi nieprzyjaciele tronu, owi wichrycyiele spokojności publicznej? pytał nieustannie regimentarza, a ten mu donosił, co wiedział.

W początkach pisał, że stoją w Nelipowcach, i że mają tylko 200 ludzi. Poniatowski, z natury optymista, przypuszczał, „że tak dobrze pomnoży się ich bieda w Turecczyźnie, że sami będą woleli przyjąć nakoniec ofiarowany pardon.“ Zalecał też przyjacielowi, by stosowne poczynił kroki.

— „Moja rzecz i żądanie całe, mówi dalej — aby ich jak najwięcej można ratować. Właśnie winni są najbardziej, którzy wiedząc, że nie mają się czego spodziewać, a mają ludzi płonniemi nadziejami. Ci prawdziwie skrupuł mieć powinni, gdyż właśnie z ich okazyi krew się leje obywatelska.“

Odezwa ta zaszczyt przynosi sercu dobrego króla...

Ale jakoś medytacye nie udawały się regimentarzowi. Rozporządzał on znaczną siłą, miał przy swym boku kilka tysięcy wojska, ułanów

(tatarów litewskich) Koryckiego, pułki Grabowskiego, Kozłowskiego, Byszewskiego, regiment królowej, hetmana polnego, a nadto do 500 pocztowych, zabranych pod Barem, oprócz załogi konsystującej w Kamieńcu. Przeciwnicy 200 tylko ludzi liczyli, a przecież nie poddawali się. Podobna buta trochę gniewała łowczego, lekceważył jednak jeszcze „żebraków“, bo jak utrzymywał, między wygnańcami jeden tylko podczaszy litewski „coś ma — reszta hołota.“

Powtarzał to samo i baszy chocimskiemu i rosyjskim generałom; hołota jednak trzymała się i nietylko „recessów od aktów swoich nie robiła“, ale niebawem do imponującej cyfry 3000 ludzi urosła.

— „Konfederaci, pisał w końcu lipca Branicki do króla, z Turecczyny nie wyszli, którym codziennie prawie czynię insynuacye, ale to chimeryczna cudzoziemskiego sukursu nadzieja, to nieuważna bojaźń... na tamtej zatrzymuje ich stronie.“

Kłamał pan łowczy, bo stosunków z konfederatami nie zawiązywał nigdy, tak go bowiem lekceważyli, że na żaden list nawet odpowiedzi

doczekać się nie mógł, więc nie wiedział, jakie powody na stepie ich zatrzymują.

Ale Poniatowski nalegał. W sierpniu znowu zaklinał przyjaciela, aby namawiał „zadniestrowych Polaków“ do powrotu, a on „włoży się za nimi do Rzeczypospolitej i do Imperatorowej, aby im wina darowaną była.“ Zniecierpliwiony Branicki, chcąc dogodzić Najjaśniejszemu Panu, zamyslał już wyruszyć na środek Dniestru i urządzić schadzkę z malkontentami, ale go zakaz Repnina odwiódł od tego.

Rebelizanci żyli, trzymali się, jakim cudem? Skąd pieniądze mają? Król pragnął wiedzieć o tem koniecznie. Pewnie francuskie!... Łowczy utrzymywał, że „księżę są to grosze.“ Ale niemniej przeto i broni znalazło się podostatkiem. Pan starosta augustowski rekrutował karabinierów, pan podczaszy ubierał, musztrował piechotę i posiadał zdolnych „egzercymajstrów“, którzy wojska nowozaciężne do frontowej służby nałamywali.

A w kraju, w posiadaniu królewszczan zostającym, nie bardzo było spokojnie. W końcu lipca stanęły sejmiki deputackie w Kamieńcu i Lwowie. Obrani na nich Luboński i Szep-

tycki... ale nastąpiła między deputatami deliberyacja — jak się dostać do Piotrkowa? Po długich naradach wysłano p. Lubońskiego pod eskortą do Lwowa, stamtąd obudwu komendant Korytowski także pod osłoną wojska pchnął do Warszawy, tak, że ledwie w kilka tygodni dygnitarze ci na posiedzenie trybunału trafili. Kurierów królewskich często chwymano i odsyłano do Bessarabii. Poniatowski po dwakroć wysyłał gwiazdę św. Stanisława Stempkowskiemu — i oba razy zawieruszyła się w drodze

Branicki więc zrzucił pychę z serca i wraz z kasztelanem kijowskim, Marcinem Lanckorońskim, napisał do związkowych, grzecznie upraszając o respons. Naturalnie żyda wybrał na posła. Malkontenci w odpowiedzi przysłali „cedułę“, że korespondencyę otrzymali — nic nadto...

Jakoś nie dobrze składało się wszystko łowczemu — więc rwał się do Warszawy, wojsko pragnął rozmieścić „na kantony“, „blesejrowanych“ wysyłał w głąb kraju... Nic nie miał król przeciw ostatniemu, ale na pierwsze i on i Repnin nie zgadzał się: „potrzebny jesteś“.... Wyśłannik zaś carowej znaczył nie mało — dawał

pieniądze na prowadzenie wojny, i... nie żądał z nich rachunku...

Wkrótce i te skąpe z Nelipowcami stosunki zostały przerwane. Co robią konfederaci? dowiedzieć się stało niepodobieństwem. Szpiegów przepłacano — ale ochotników do szpiegowania brakło. Ani szlachezca, ani wojskowego użyć nie było bezpiecznie, bo zaraz zrobi akces do związku, o chłopach nie było mowy; Ormianie zachowywali się biernie; Lipkowie chocimscy trzymali za jedno „z burzycielami spokojności publicznej“, sławetni tchórzem podszyci; z żydów nie wielka pociecha, wreszcie nie dopuszczano ich, a natrętni szli na gałąź...

W połowie więc sierpnia przybył Branicki do Kamiénca, aby się z Wittem w tak ciężkiej przygodzie naradzić. Komendant zapewnił, że sprawę wywiedzenia się, jak stoją rzeczy w obozie konfederatów, bierze na siebie, i że pan regimentarz najdalej za dni kilkanaście otrzyma najpewniejsze o usposobieniu związkowych i ich sile wiadomości.

Mocno się tem uradował Branicki, i pozostał w miasteczku, czekając na skutek zabiegów jenerała, dla skrócenia zaś czasu umizgał się do

pięknych buziaków, w antraktach spijał się ze szlachtą, za co nawet zyskał niemało popularności. Ziemianie na wyścigi spieszyli ugościć tak miłego dygnitarza, ściągali najznakomitszych opijusów, ale żaden z nich nie mógł prześcignąć łowczego w liczbie wypitych kuflów... I kiedy sława województwa, pan chorąży Kawiecki, dotąd niezwyciężony, leżał nieprzytomny pod ławą, wówczas pan Branicki jeszcze się dobrze trzymał na nogach i wcale przytomnie do dalszych zagrzewał libacyi. Poważna firma Szadbejów, handlująca starym węgryzmem w Kamieńcu, trwożyła się niepomału, ażali jej nie zabraknie trunków w piwnicy.. Byłaby to hańba nie lada, bo dotąd słynęła z niewyczerpanych zapasów... Miałżeby pan łowczy podkopać jej wziętość, zdobyłą przeszło dwuwiekowemi zasługami?

Regimentarz był niezwyciężony, ale razem nieprzebrany w grzecznościach i zabiegach. Nie tylko słodkimi uśmiechami karmił panie, nie tylko ziemianom dogadzał, w końcu i do sławetnych obywateli zbliżyć się począł, i o dziwo... przełamawszy wstręt, jaki miał do płatającego mu figle duchowieństwa, nawet zaczął się miździć do ks. surrogatora Brzezińskiego, z po-

korą chylącego głowę przed wszelaką władzą doczesną...

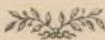
Tak to mu było wesoło w Kamieńcu... Atoli w chwilach zwątpienia, biegł do pana Wittta i pytał niespokojnie :

— A cóż, generale, wysłałeś na podsłuchy ?

— Wysłałem pewnego i zręcznego wcale człowieka, już ja w tem, że się sprawi jak należy...

— Daj Boże, daj Boże ! Król Jegomość nie zapomni mu tej usługi.

Generał kłaniał się nisko, wówczas bowiem był jeszcze „wielkim chudopachołkiem“, świeżo podniesionym do godności komendanta, którą pełnił tymczasowo, i nie miał indygenatu w kieszeni...



II.

Tymczasem w Nelipowcach, na stepie urzyjskim rzuconych, życie wrzało w całej sile. Rozlokował się tu obóz „zadniestrowych Polaków“, owych rebelizantów, buntowników, nazywanych „malkontentami barskimi“, od czasu jak król, a właściwie Repnin, stracił wiarę w przełamanie oporu tej garstki. Uznawano ich więc potrochu za stronę wojującą i łamano sobie głowę, w jaki sposób rozpocząć z „niesfornymi duchami“ akcyę dyplomatyczną?... Poniatowski pragnął zażegnać burzę, choćby kosztem ofiar i upokorzeń; widział on, że pożar się rozszerza, że objął już całą Rus Czerwoną, wybuchł w okolicy Krakowa, pokazuje się w Wołyńskim, przedostaje się na Litwę... i wszystko stąd czerpie początek...

Na stepie, powtarzamy, było gwarno, ludno i wesoło. Wioseczka z kilku chat złożona prze-

pełniona była żołnierstwem spływającym z całej Małopolski, mieściło się to pod lichymi namiotami, w szałasach a nieopodal od obozu długim szeregiem ciągnęły się budy kupieckie i szynkownie nader skromnego wejrzenia, wiechą zieloną naznaczone. Łatwo zresztą domyśleć się mogłeś, kędy wódkę, piwo i kwaśne wino miejscowe sprzedają, już choćby z natłoku i zbiegowiska panującego w około tych gospód zaimprovizowanych.

Otóż pewnego sierpniowego wieczora przed odtrąbieniem capstrzyka, obok jednej z karczem melipowskich, zatrzymały się dwa wozy, ciągnięte przez wielkie ale tęgie konie. Wozy były wysokie, pokryte skórą, wcale wyglądały okazaście. Na pierwszym z nich siedziała kobieta olbrzymich kształtów i herodowej miny. Liczyć mogła około lat 40; ubiór miała mieszczkański ale porządny, nogi zwieszane za półdrabek ubrane były w pończochy niciane i trzewiki safianowe; na głowie biały czepiec, na grzbiecie chustka wzorzysta w jaskrawe „kaje“, — słowem wszystko wskazywało na dostatek. Ale powierzchowność nie budziła sympatyj. Z trwogą przyglądał się opisowi. Olbrzymia twarz nie-

wiasty robiła wrażenie patelni, na której małe, czarne, biegające oczki, reprezentowały owe suche rodzynki na ubogim placku wielkanocnym, skąpą ręką rzucone; niskie czoło osłaniały jeszcze bardziej szlarki suto karbowane, nos ledwie na nazwę nosa zasługiwał, taki był płaski i niewielki, pod nosem duże szerokie wargi, owiane siwiejącym już wąsikiem, gęściej rozrzuconym w kątach ust na pół uśmiechniętych; dalej szedł wspaniały okrągły podbródek, w fałdach spływający na piersi, które znowu opierały się o wspaniałą okrągłość tuszy. Tak wyglądał „fronton“ tego wędrownego bóstwa, mamyż je jeszcze dokładniej opisywać? Nie... dodam ~~.....~~ olbrzymie ramiona, grube, duże ręce, ~~.....~~ jakby tych drobnych rączek w groźny sposób używać umiała.

Gawiedź zebrana u gospody ciekawie przyglądała się podróżnej babie, która postępując ~~.....~~ wzdychając zlazła z woza, wzięła się pod boki i jęła się rozpatrywać w tłumie. Naraz wysunął się z niego młodzieniec w mundurze artylerzysty, ale schludniej od innych ubrany. Był to bombardjer niegdyś z twierdzy kam ~~.....~~ teraz zagorzały konfederat i wielki fav ~~.....~~ naszego

litewskiego. Zbliżył się on do przybyłej, pilnie zaglądając jej w oczy i ze zdziwieniem zawołał:

— A kogoż to ja widzę!... Toż to, jak mi Bóg miły, ciotka Paulucowa!

— W własnej swojej osobie mój chłopcze — zawołała rezolutnie baba, poprawiając czepiec na głowie. Ale cóż ty tu Macieju porabiasz?

— Przysłałem do konfederatów, odrzekł zapytany. Za wiarę świętą wojna, więc nie godzi się rąk opuszczać; wreszcie wolę tu w szczerem polu choć głodem przymrzeć, jak tam za murami kisać Bóg wie, ile czasu!

— Oj prawda wasza, wielka prawda! I ja tak sobie pomyślałam, to też widzicie mnie z całym straganem, na usługi wasze.

I to mówiąc, wskazała na wozy.

— Trafiliście w złą chwilę ciotko; grosza nie wiele w obozie, a głodu za to dużo, korzyści i zysków nie spodziewajcie się tutaj.

— Alboż to ja już taka biedna, że i na kredyt a nawet darmo nie nakarmię? Toż stać na to ciotkę Paulucowę!

Ciekawy tłum słysząc wspaniałomyślną obietnicę, zbliżył się jeszcze bardziej do kobiety

i otoczył ją wieńcem, a jeden, drugi zaglądał do wozów. Pełne wędlin, same specyały! Nie dziw, że niebawem wszyscy z radami zaczęli się narzucać, a w pierwszym rzędzie sam właściciel gospody, któremu bardzo była na rękę sprzedaż mięsów solonych. Szynka budzi pragnienie, stąd zysk oczywisty, bo zwiększy się konsumecya i piwa i wódki. Wziął więc w opiekę przybyłą, obiecał jej urządzić stragan z improvizowaną na prędcę werandą ze słomy, a tymczasem na nocleg panią kupcowę zaprosił do siebie.

Maciej wysunął się z tłumu i pociągnął zamysłony do obozu. Dziwnem mu się trochę wydało to poświęcenie Paulucowej, znał ją dobrze od dawna. Przed kilkunastu laty z Warszawy przywędrowała z ojcem do Kamieńca, taka szpetna jak dzisiaj; on, Niemiec, kabaniarstwem się trudnił, ona mu dopomagała; a jak córeczka była tłusta i kwitnąca, tak znowu rodzic chudy i długi. Wkrótce po przybyciu umarł Niemiec, a córka jako jedyna spadkobierczyni objęła po nim sukcesyę

O jej mężu Paulucu mało kto słyszał, ale za to nikt go nigdy nie widział; jedni utrzymy-

wali, że nie egzystował wcale inni zaś, że w chwili nieprzytomności ożenił się z szpetną niewiastą, ale odzyskawszy zmysły uciekł od niej na zawsze. Dość, że Katarzyna występowała jako wdowa, lubiła dużo rozpowiadać o swoich w stolicy sukcesach, posiadała wszystkie cechy wielkomijskich przekupek, była swarliwa, śmiała, silna jak dragon, a że handel szedł jej dobrze, więc zarozumiała i lekceważąca uboższe koleżanki; do tego słynęła ze skąpstwa i złego serca, a biedny *gemejn* t. j. żołnierz, skoro wziął na „poczekane“ cokolwiek z jej straganu, i nie uiszczał się prędko z długu, miał się pewne z pyszna; łajęła go publicznie, nie dała przejść spokojnie ulicą, w końcu skarżyła przed oficerami, ścigając bez litości opieszalego dłużnika.

Nie lubiano kabaniarki w Kamieńcu, szczególnie żołnierze i uboższe mieszczaństwo, bo ze starszyzną umiała żyć w zgodzie, nadskakiwała i burmistrzowi i rajcom i podstaroście grodzkiemu, a cóż już mówić o panach garnizonych, o samym komendancie, wobec którego jak przed ołtarzem składała tłuste ręce na pierśsiach, chyliła głowę pokornie, ale tak nisko, że

z trudnością niekiedy mogła zachować równowagę, co przy monsturalnej korpulencji dość komicznie wyglądało.

Maciej to wszystko rozważał, znał bowiem dobrze, powtarzamy raz jeszcze, ciotkę Paulucowę.

— Nie bez kozery przyjechała baba, powiedział konkludując wszystkie *pro i contra* piętrzące się w jego umyśle.

Nuzajutrz rozgospodarowała się kabaniarka pod gospodą nelipowiecką, a kiedy wieść gruchnęła o jej przybyciu, niejeden z dawnych znajomych, a było ich sporo, szczególnie w oddziale podczaszego litewskiego, z królewskich żołnierzy; otóż niejeden pośpieszył do karczemki, aby się naocznie o wszystkim przekonać, a kiedy zoczył przysmaki na stołach, mianowicie kiełbaski, szperkę wędzoną, szynki i nogi wieprzowe oblane galaretą, ślinka mu do ust płynęła, rozczulenie migotało w oczach, a straganiarka wbrew opinii dawniejszej, nad wyraz wszelki okazywała się łagodną, pobłażliwą i miękką. Najprzód tanio sprzedawała towar, a często gęsto dawała nawet

bez pieniędzy, klnąc się na wszystkie świętości, że będzie względna, że o dług upomni się u pana żołnierza kiedyś, później, jak się wojna skończy, a kraj zupełnie uspokojony zostanie.

Nie potrzebujemy dodawać, że produkta przywiezione rozplłyły się w dni kilka. W początkach ciotka zachowywała pewne pozory, i trzeba było dawnej znajomości, aby mieć u niej kredyt, ale z czasem obeszło się i bez tego, a stragany mimo to zawsze były pełne, bo opróżnione jednego dnia, już na drugi pokrywały się nowemi przysmakami.

— Ot dobrodziejka prawdziwa, szeptało żołnierstwo, na biednych żołnierzy łaskawa. Musi być poczciwa, kiedy z własną stratą karmi nas tak hojnie!

— Ej, licho to nie baba, odpowiedział kiwając głową z niedowierzaniem Maciej. Znam ja ją dobrze i dawno; twarda jak żelazo, a że zmiękła, to chyba gdzieś się z ks. Markiem spotkała, i chyba wyegzaminował ją, wygnał z niej czarta, a anioła posadził... tylko że anioł w takiej skorupie nie popasłby długo, zerwałby się nawet z łańcucha i frunął do nieba.

Nie bardzo słuchali koledzy rezonującego bombardyera, dla nich smaczne śniadania stanowiły więcej, niż wszelkie przypuszczenia, toć ednej baby bać się niema czego.



III.

Miało się ku końcowi sierpnia. Paulucowa nie ustawała w gorliwości gościnnej, ale za często kręciła się po obozie. Baba była zbyt ciekawa, poczęła się pilnie rozglądać i rozpytywać, gdzie kto ze starszyny mieszka, ile jest żołnierza i jakie na przyszłość mają zamiary naczelnicy? W kole szeregowców znalazło się kilku, którzy za kęs wieprzowiny wędzonej nosili jej plotki, a że publicznie zdawali jej sprawę, więc nie obudziło to podejrzania, nie dziwiono się nawet wcale ciotce, tłumaczono to ciekawością niewieścią, wreszcie dodawano, że i dobrodziejka będzie się musiała zastosować do obrotów wojska, które przecież wiekować nie może na stepie, a kiedy wyruszy, cóż się stanie ze straganem? Pośród Mołdawianów, żydów, cyganów i innych przybłądów zostawać nie bardzo przy-

jemnie obywatelce, a do Kamieńca po tylu gorących dowodach afektów dla związkowych, nie ma po co wracać.

Aliści wypadek zrządził, że podejrzliwy Maciej dowiedział się o całej tajemnicy i pobudkach, które skłoniły przekupkę do rzekomej wspaniałości. Oto wysłany był przez podczaszego litewskiego z kartką do pana starosty czereszyńskiego, stojącego obozem w okolicy Nelipowiec, właśnie na polance bliżej ku Kamieńcowi wysuniętej. Bombardyer się spóźnił, wracał więc w nocy, a zmęczony, przysiadł w burzanach, aby odpocząć chwilę.

Naraz usłyszał turkot wozu i zaczął się rozpatrywać w ciemności. Jakoż po chwili nadjechał spory wasąg, ciągniony przez parę koni, a nasz bombardyer zaraz poznał, że to taki sam, jakim ciotce dostawiano produkta. Nikt w wozie nie siedział, może więc konie same znużone oczekiwaniem, a bez dozoru zostawione, ruszyły z pod gospody. Już Maciej miał się posunąć dla ich zatrzymania, kiedy usłyszał stłumioną rozmowę... i istotnie poznał Paulucowę i jej parobka, którego także miał od dawna w podejrzeniu, bo przybywał zawsze nocą,

zawsze nocą odjeżdżał, patrzył z podełba, zanadto był osmarowany i zanadto unikał spojrzeń ludzkich. Teraz kabaniarka i parobek szli opodal od wozu, kordyalnie dysputując ze sobą.

— Zatrzymajcie no konie panie Grzegorzu, dalej już nie jestem w stanie się ruszyć — ozwała się ciotka.

— Dobrze, bo otóż i studnia; konie napiją się wody, my tymczasem usiądźmy.

Rozlokowali się o parę kroków od Macieja ukrytego w burzanach.

— Cóż mi każecie raportować generałowi? zaczął mężczyzna.

— Powiedzcie mu, że ja tu jak czarny wół pracuję. Wiadomości mam skąpo — ale pewne. Kłóćą się ze sobą panowie starszyzna, najstraszniejszy jednak i najzawziętszy, to pan podczaszy! Ksiądz biskup z Francuzami się wodzi, chce Kamieniec odebrać — ale na siebie, Turcy zaś chcą na siebie. Dni kilka temu był tu basza chocimski Arbandży, jakiś słuszny, edukowany i bogaty człowiek, przyjmowali go z honorami, mówią, że wiele może u swojego króla, więc dużo sobie obiecują z tej bytności.

— A ludzi ilu wszystkich? — spytał woźnica.

— Moc... Rachunku jeszcze nie mam, ale dostanę, co dnia przybywają nowi.

— Kiedyż go nam dostarczycie?

— Na to kosztów potrzeba, a ja i tak maruję się na tem stepie i wygod żadnych nie mam, i to wszystko za mizernych kilkadziesiąt czerwonych złotych.

— A próbowaliście namawiać, aby zbiegi wracali?

— Niby próbowałam, ale boję się, aby ich przed „krygsrechtą“ nie stawiono; wreszcie i tu bez pieniędzy nic, każdemu coś dać potrzeba na drogę.

— Dalekaż to mi droga, przerwał z przekąsem parobek, ot, nawróconych do mnie z pewnym przysyłajcie znakiem, ja ich odstawię do fortecy, na koszt zaś generał przysłał wam nowego grosza trochę.

I mówiąc to, wetknął w tłustą rękę kabańki nie wielką paczkę.

— Dziękuję wielmożnemu porucznikowi! zawołała uradowana ciotka.

— Cyt, cyt — przerwał woźnica — nie porucznik, ale Grzegorz, pacholek wasz! Nie zapominajcie, inaczej i siebie i mnie zgubić możecie.

Potem nastąpiły szepty i pożegnanie.

Maciej skamieniał ze zgrozy. W pierwszej chwili chciał biec za Paulucową, dopędzić ją, udusić, ale pomiarkował się potem. W dobre pół godziny podniósł się z legowiska i prosto podążył do pana podczaszego litewskiego.

Jeszcze Potocki nie spał, kiedy mu oficer doniósł, że bombardyer Maciej wrócił z responsem, ale się osobiście potrzebuje stawić przed obliczem pana regimentarza.

— Zawołaj go moi poruczniku, odpowiedział podczaszy, wstając od stołu, przy którym pracował.

Wprowadzony bombardyer, zaczął lakonicznie:

— Mamy szpiega w obozie!

Potem powoli, systematycznie, opowiedział całą rozmowę, jakiej był mimowolnym słuchaczem. Gdy skończył, gospodarz kilka razy przeszedł się po izbie, jakby się namyślał, co ma z tem wszystkim uczynić, nareszcie stając przed

wyciągniętym Maciejem, odezwał się w następujące słowa :

-- Bardzo ci się chwali przezorność i czujność szczególną i ten wzgląd na dobro naszej sprawy, ale gdybyś był pojmał porucznika, zaraz bym go przed sądem wojennym postawił, a z babą.... powiedz mi co ja z babą zrobię?

Bombardyer milczał, z nogi tylko na nogę przestępował.

— Powiesić łatwo, jeśli oczywiste dowody się znajdują... I cóż nam z tego przybędzie? Tylko wrzaski i narzekania, że się znęcamy nad słabemi niewiastami.

— Ale to proszę jaśnie wielmożnego regimentarza, nie słaba jest osoba! ośmielił się wtrącić Maciej, rad, że przyjść może do słowa nie słaba, przeciwnie silna, ogromna.

Tu zamilkł, bo spotkał się ze zwrokiem służbowego oficera, który za plecami podczaszego stojąc, dawał mu znaki, aby nie plótł dużo, bo to oznacza nieuszanowanie dla starszego.

Potocki dojrzał tego manewru i uśmiechnął się nieznacznie.

— Ot wiesz mości poruczniku, przemówił zwracając się w stronę surowego przestrzegacza subordynacyi wojskowej, obmyśliłem sposób. Babę aresztować natychmiast, a że jest z Kamieńca, więc jutro odesłać ją do księdza biskupa, niech ją wybada jako kapłan, a postanowi potem o jej losie, jako mający głos w związku naszym. Nawet mu tem usługę wyświadczę, dodał pół żartem, agentów dyplomatycznych teraz niema, Francuzi wyjechali, nudzi się pasterz; będzie więc miał rozrywkę.

Jak Potocki rozkazał, tak się stało. Naza jutrz w całym obozie wiedziano o pojmaniu szpiega, a ks. Krasieński miał sobie przedstawione wszystkie szczegóły wypadku. Biskup najprzód wybadał Macieja, a potem rozkazał przyprowadzić ciotkę Paulucowę. Otoczona silną eskortą, szła wylękła jakby na ścięcie. Już nocleg w kozie nie bardzo jej się podobał. W jamie okrytej mierzwą, trzymano ją kilkanaście godzin wraz z odartym cyganem, włóczęgą, który był złapany na kradzieży w obozie, a zapomniano go powiesić.

Otucha jednak wstąpiła w nią, kiedy się dowiedziała od konwojujących żołnierzy, że nie-

bawem ma stanąć przed kamienieckim biskupem... Wprowadzona do izby, miała już na ustach zwyczajne i powszechnie przyjęte „niech będzie pochwalony“, ale się nagle wstrzymała. W wyobraźni kabaniarki mieszkanie senatora duchownego, choć w chacie, winno było nosić cechy stanowi jego właściwe, do sakramentu kapłańskiego przywiązane. Więc spodziewała się znaleźć pełno wizerunków świętych pańskich po ścianach, ołtarzyk choćby maluteńki, krucyfiks, mszał, kropielnicę zaś u drzwi ze święconą wodą koniecznie. A tu jako żywo, nic tego nie było! Pośrodku niskiej, niebielonej izby, stał prosty stół, zarzucony papierami, na ścianach wisiały trzęzle, chomonta, siodła, czapraki, nawet nahajki kozackie, broń wszelkiego rodzaju; w kącie skromny tapczanik, okryty skórą niedźwiedzią, jedyny zbytek w umeblowaniu; wszędzie zaś do-rażność biła w oczy, okienko na prędcie wsta-wione i nie przypasowane należycie, kominek przytulony do pieca, dziwnej konstrukcyi, był jakby nie u siebie, nie na miejscu.

A samże ksiądz biskup?! Paulucowa widy-wała go, albo jadącego poważnie w karocy, i błogosławiącego spokojnych obywateli, albo

w kościele z infułą na głowie, a z pastorałem w ręku, krocącego z wielkim majestatem przez główną nawę, otoczonego przez liczny kler pontyfikalnie ubrany, wśród śpiewów uroczystych i dymu kadzideł, co wznosił się w kształcie obłoków aż pod stropy świątyni. Tu zaś stała przed człowiekiem nie młodym, do hajduka raczej, niżli do kapłana podobnym. Włos krótki przyszczyżony na głowie, tonsury ani śladu, wąs zawieszisty, broda duża, przypruszone siwizną, ścięta z boków po szwedzku, w oczach energia, usta dumnie zacięte. Niewielki ten jegomość odziany był w krótki barani kożuszek; długie buty sięgały mu po nad kolana, a przy nich ogromne, jak u dragona ostrogi; ręka biała i delikatna zdradzała w nim człowieka, nie szukającego chleba w pracy fizycznej.

Paulucowa aż się cofnęła przerażona, i gdyby nie eskortujący ją żołnierze, którzy przystąpili z uszanowaniem do ucałowania ręki pasterza, myślałaby, że kogo innego ma przed sobą. Ksiądz biskup spostrzegł ten ruch, i inaczej go sobie wytłumaczył, bo zawołał:

— Jak to znać, żeś zbrodnię popełniła, kiedy z taką trwogą przystępujesz do kapłana.



— Kiedy bo ja nie zbrodni się ulękałam.

— A czegoż?

— Nie śmiem powiedzieć.

— Mów śmiało.

— Ulękałam się księdza pasterza, bóg nie po pastersku wygląda, a prędzej, nie przymierzając, do rozbójnika podobny.

Uśmiechnął się senator, baba miała słuszość. Kozacka katanka podszyta futerkiem, a ściągnięta w biodrach pasem rzemiennym, nie licowała z posłannictwem kapłańskim.

Biskup kazał usunąć się strażę i został sam z Paulucową. Indagacya trwała długo, a rezultat jej wypadł snąć po myśli księdza biskupa, bo zadowolony zacierał ręce, podczas gdy ciotka wyszła z izby skruszona, łzami zalana, z głową zwieszoną na piersi. Naturalnie, że żołnierze odprowadzili ją znowu do obrzydłej jamy, uprzętnąwszy z niej wprzódę wylękłego cygana.

Tegoż jeszcze wieczora w mieszkaniu pana podczaszego litewskiego odbywała się gorąca narada, w której biskup Krasiński brał czynny udział. Do deliberacyi przypuszczony był major Ogrodzki, prawa ręka Potockiego, instruktor znakomity, a jak wówczas nazywano, „egzercyr-

majster“, sławny na całe województwo podolskie. U drzwi siedział młody porucznik, Józef Biernawski, bardzo ulubiony dla wiecznie wesołego humoru. Był on synem zasłużonego oficjalisty pana podczaszego, który go też forytował sam do wojska i umieścił w regimencie królowej, pod opieką pułkownika węgierskiego. Młodzieniec na wieść o konfederacyi, jeden z pierwszych stawił się w obozie Potockiego, a ten rozczulony tą gotowością, poklepał po ramieniu chłopaka i zawołał:

— Jak mi Bóg miły, dobra krew! Zostań waś przy moim boku, a nie będziesz tego żałować.

Odtąd Biernawski nieustannie pełnił ordynansową służbę przy swoim opiekunie, i teraz z wielką uwagą rozmowie się przysłuchiwał.

— Cóż tedy ów szpieg-baba? — zapytał gospodarz Jego Ekscelencyi.

— Przyznam się waszmościom, żem się ciekawych od uwięzionej dowiedział rzeczy. Toż to nasyłają na nas z tego przedmurza chrześcijańskiego rozmaitych ludzi, aby podkopać kredyt, podkupić, zdemoralizować, zgniebić! Jeszcze nie dziwię się Wittowi; *homo novus* — nieznany

w Rzeczypospolitej, więc zasługuje się jak umie; ale pan łowczy koronny...

— A pan łowczy koronny — przerwał mu z niezwykłym ferworem, przymrużając lewe oko podczaszy, niby to także nie jest nowym człowiekiem?

— Sporu o to prowadzić nie będę, ale szlachcie przynajmniej, kiedy tamten nawet indygenatu nie posiada. Otoż za wspólną naradą obaj wyprawili tu ciemną, ale chciwą zysków babę, żeby pod pozorem handlu relacye o nas przesyłała, żeby zaś łatwiej mogła skaptować stronników, komendant polecił jej darmo niemal rozdawać wiktuały żołnierzom, a nawet sam sklep jej zasilął.

— Przypuszczam, że żołnierzom to na złe nie wyszło, wtrącił Ogrodzki, korzystali też skwapliwie z tej uczynności przekupki! Zyskałiśmy widocznie, lud nasz odkarmił się, a regaliści ponieśli stratę.

— Pan łowczy bezpłatnym dostawcą prowiantu dla malkontentów! odezwał się podczaszy, to trochę zabawnie wygląda; a że pieniądze daje kto inny, więc... chyba i jemu wdzięczność się należy.

Rzucił się ksiądz biskup na wzmiankę o wdzięczności.

— Idźmy dalej, ciągnął powolnie, dotąd baba; ale co gorsza, że oficera przebranego za woźnicę przysłał tutaj, aby uwięzioną wybadał.

— I temu nie należy się dziwić księżo biskupie, odparł podczaszy, który był w szczególnie dobrym humorze, i temu się nie należy dziwić. Naśladuje nas pod tym względem.

— Jak to nas? zapytał pasterz, co waszmość pod tem rozumiesz?

Potocki za całą odpowiedź, od stóp do głowy obrzucił spojrzeniem Jego Ekscelencyę.

— Żartuj sobie zdrów, zawołał ks. Krasieński, domyślając się, że go bierze podczaszy na fundusz, oficer jednak był tu kilka razy, i siła nam zaszkodzić może.

— Czy wolno o nazwisko tego nieuczciwego mistyfikatora zapytać? odezwał się Biernawski od proga.

— I o tem się dowiedziałem; jest to naczelnik luki granicznej, konsystującej w Paniowcach, porucznik z regimentu królowej, Tomasz Goliszewski.

Biernawski aż podskoczył z radości na stołku, nie jednak nie mówił, i w kilka minut potem wysunął się niepostrzeżenie z pokoju.

Starszyzna deliberowała jeszcze, jak ma z babą postąpić, ks. biskup stawał w jej obronie i był za ułaskawieniem, bo okazała prawdziwą skruchę i przyznała się do wszystkiego. Podczaszy ani za, ani przeciw wyrokowi nie dawał głosu, za to major Ogrodzki głosował za zastosowaniem „artykułów wojskowych“ w całej rozciągłości, bo tylko taką drogą odstraszyć można od naśladownictwa.

Powstał spór, który długo by się był przewłókł, gdyby nagle nie wsunął się znowu do pokoju Biernawski i nie poprosił pana regimentarza o chwilkę rozmowy na osobności w bardzo ważnej sprawie.

Podczaszy zakłopotany słuchał relacji porucznika. Pod jej wpływem rozchmurzyło mu się oblicze, a w końcu śmiać się zaczął serdecznie i poklepawszy Biernawskiego po ramieniu, zawołał:

— Pozwalam i akceptuję!

— Cały tok sprawy zmienić się musi, rzekł, wracając do gości, jeżeli waszmość pa-

nowie przychylicie się do projektu podanego mi przed chwilą przez mojego oficera ordynansowego.

I począł wyłuszczać propozycje pana Biernawskiego. Biskup, słuchając, zanosił się od śmiechu, Ogrodzki także rozpogodził czoło.

— Więc *armistitium* mości panowie, na dni pięć najwięcej, odezwał się Potocki.

— Zgoda, zgoda!

— A delikwentka idzie na gałąź, mości biskupie.

— Tylkoż nie *de facto*, nie *de facto*!

— To się ma rozumieć, przynajmniej do czasu, pomruknął nieubłagany pan Ogrodzki.

Jakoż istotnie wkrótce potem przyniósł ktoś do Kamieńca wiadomość, że Paulucowa została najhaniebniej od konfederatów zamordowana. Mieszczanstwo po cichu radowało się z tego, a pan Witt zmartwił się nie mało.



IV.

W Paniowieckim zameczku miał komendę, jak o tem było wyżej, pan Tomasz Goliszewski, porucznik regimentu królowej. Niezdara wielki, człowiek już nie młody, syn zagonowego szlachcica, nie wdający się w żadne dysputy, ślepy wykonawca rozkazów starszyny.

Dziedzicem Paniowiec był podówczs Paweł Starzyński, generał-lejtnant Jego Królewskiej Mości i szczery partyzant Stanisława Augusta. Na czas niepokojów wyniósł się on do dóbr swoich pod Lwowem, a niedawno nabyte kresowe dziedzictwo zostawił na Opatrzność Boską, ucieszył się więc niepomału, kiedy w ruinach starożytnego zameczka wojska Rzeczypospolitej stanęły załogą. Regalistom nie udawało się w tej stronie osadzić granicy, luka przypadała na Uście smotryczańskie, nad samą rzeką położone, ała

tam jakoś nie ostawała się placówka, bo zaraz ją znosili konfederaci, a właściwie na swoją przyciągali stronę. Że jednak kąt ów potrzebował obrony, że obrona ciążyła na wojskach Rzeczypospolitej, więc pan Witt placówkę przeniósł do Paniowiec, o dobrą milę od Dniestru położonych, wzmocnił ją poczem sowitym, zamiast ośmiu żołnierzy, postawił czterdziestu, a na ich czele Goliszewskiego.

— Czy tylko wybór szczęśliwy? pytał łowczy koronny generała, znał bowiem osobiście porucznika i to nie z arcy-dobrej strony.

— Karny jest, a przynajmniej mam pewność, że się nie przeczuci na stronę buntowników i komendy nie pozwoli bałamucić.

Z czasem placówka paniowiecka nabrała jeszcze większego znaczenia, leżała bowiem na trakcie prowadzącym z Kamieńca do Nelipowiec; należał przytem do niej spory obszar brzegu dniestrowego, poczynając od Sokoła do Wróblowiec... Witt się bał wkroczenia tędy konfederatów, właśnie bowiem na tej przestrzeni leżał jeden z siedmiu brodów, więc załogę paniowiecką związał łańcuchem strażniczym z Kamieńcem, także o dobrą milkę zasuniętym w głąb kraju.

Na rzeczonyj przestrzeni znajdowało się 7 do 8 placówek, w taki sposób ustawionych, że każda osobno wzięta widziała dwie sąsiednie. Obok wedety ustawiono wysokie żerdzie, okręcone słomą maczaną w smole, w nocy na znak niebezpieczeństwa grożącego Paniowcom, siedem takich pochodni buchało w górę płomieniem, i straż zrobiwszy swoje umykała co siły starczy do warowni.

Był to prastary zwyczaj słowiański, najpraktyczniejszy jednak w tych stronach. Jednocześnie z napadami tatarskimi zaczęto go stosować, a wiedział o tem dobrze drapieżny nieprzyjaciel podnoszący się z Budziaku na rabunek Rzeczypospolitej, zadaniem bowiem jego było zawsze znosić podstępnie placówki i obalać żerdzie. „Najezdca poniszczył znaki strażnicze“, znaczyło to samo w XV. wieku, co dzisiaj zrujnowanie kolei i przecięcie drutów telegraficznych.

Ale wróćmy do Goliszewskiego. Choć oddalony o milę od Kamieńca, miał przecież zapewnione sobie bezpieczeństwo, więc nosił głowę do góry, i przestrzegał subordynacyi drobnostkowo. Żołnierz zawsze w Polsce do zbytku zaznawał swobody, teraz bałamucony przez związ-

kowych, sarkał na dyscyplinę wojskową i marzyło mu się obywatelstwo. Nie lubieli więc podkomendni porucznika, choć nie wymagał nic nadto, co każe regulamin. Tyle tylko zaznawała swobody załoga, kiedy jej dowódzca wyjeżdżał ze swej rezydencji, a w ostatnich zwłaszcza czasach znikał często na dobę i na dwie nawet, powracał bardzo zmęczony, i spał jak zabity. Wiemy już, czem był zaprzątnięty w chwilach nieobecności w Paniowcach, choć żołnierze utrzymywali, że się zakochał w córce podstarościego z sąsiedniej wioski i do dziewczki jeździł na umizgi.

Bądź jak bądź, porucznik urósł w pychę nie małą, widząc, że mu tak ważny posterunek pan generał poruczył, i że używa go do tak subtelnych misyi, a jeszcze mu serce większą się wypełniło radością, kiedy pan łowczy koronny doręczył mu korespondencyę z rozkazem, aby ją przez najzaufanego żołnierza albo i kaprała wysłał do Nelipowiec. Po pierwszym pisaniu nastąpiło drugie, po drugim trzecie z poleceniem przyniesienia odpowiedzi.

Goliszewski gryzł się tem właśnie, że responsu na żadne z nich nie chciano dać w obo-

zie. Lekceważenie podobne do furji go nieraz doprowadzało. Jakto? hołota wyrzucona po za granice Rzeczypospolitej tak sobie wiele pozwala! Rusza więc porucznik konceptem razu pewnego i mówi posłańcowi, aby objawił stanowczo, że jeżeli żądanego nie otrzyma pokwitowania, wówczas i listu nie odda. Biednego posłańca wysmiali za ten dowcip malkontenci i wypchnięty z obozu wrócił poseł jak niepyszny z nietkniętym pakietem pana łowczego. Goliszewski uradowany, że się znalazł po junacku, jedzie z raportem do Kamieńca, pewny pochwały, a tu tymczasem zmyli mu głowę w komendanturze za to... Do pośrednictwa użyto żyda, który zrobił tyle, że od pana podczaszego Potockiego wymodlił „cedułę“, w której stało napisane to tylko, iż epistołę, przez powiernego Josia czy Srula przewiezioną, „otrzymała główna kancelarya związku barskiego.“

Ze jednak spodziewano się responsu na owo pisanie, a była to królewska do rebelizantów odezwa, Goliszewski przeto otrzymał upoważnienie, żeby wysłańców z Nelipowiec, nie bacząc na ich kondycję, przyjmował, ułatwiał im podróż do Kamieńca, i ani chwili nie zatrzymywał na miejscu

W fatalną godzinę przyszedł ten ordynans. Właśnie tylko co porucznik dowiedział się o tragicznym zgonie Paulucowej. Drżał na wszystkim ciele, przypuszczając, że baba wzięta na "konfesatę torturalną", wyśpiewła coś o jego współnictwie. Zamknął się u siebie i w niemej trwodze przepędził tak dużo czasu. Właśnie wtedy przyniesiono mu rozporządzenie Witta. Zgzyziony porucznik nie odczytał go należycie, a wyznać potrzeba, że nie biegły był w sztuce decyfrowania papierów przybywających z komendantury, odłożył więc sprawę do dnia jasnego, a sam spać się położył. Bo też i aura do snu usposabiała; ochłódło nagle na dworze, niebo się zasunęło deszczowemi chmurami i kapuśniczek na dobre siekał, zapowiadając zbliżenie się jesieni.

Po znużeniu, po trwodze, snem żelaznym zasnął komendant paniowieckiego forwachtu, ale rojenia na jawie poczęte dręczyć go nie przedstawiały. Marzyło mu się, że go buntownicy pojмали, że stawią przed sądem, wojennym, że posiadają niezbite dowody, jako on, porucznik regimentu pieszego królowej, przyjął na siebie haniebny obowiązek szpiega, za co też *kriegs-*

recht nie zwlekając długo, karę śmierci mu przemaszcza, i to najwstrętniejszą bo ze stryczkiem — na szubienicy.

Pot zimny oblał czoło śpiącego, pierś podnosiły westchnienia ciężkie, choć zmora gniotła ją jakby olbrzymim kamieniem. Porucznik biedny nie słyszał, jak żołnierz z jego komendy wpadł do izby, nie czuł nawet, jak go szarpał za nogi; ocknął się dopiero, kiedy mu wrzasnął prawie w samo ucho:

— Panie poruczniku! konfederat pod bramą!

— Co co! zawołał zrywając się na pół przytomny Goliszewski, konfederaci! Zapalać co żywo wiechy strażnicze, zaryglować wejście, pod broń cała komenda!

— Ale proszę pana porucznika.

— Milcz! robić jak rozkazano!

Sen złowieszczy sprawdzał się! W przekonaniu Goliszewskiego związkowi wyraźnie po niego musieli przyjechać, gotowi zbałamucić komendę, a ta go wyda niechybnie w ich ręce. Porucznik jął się stroić w rynsztunek, ryngraf z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej zawiesił na piersi, przypasał pałasz i z pistoletem w ręku wyskoczył na dziedziniec.

Deszcz trzepał po dawnemu. Olbrzymia wiecha, utkwiona na bramie podrujnowanej, gorzała, druga podobna na przeciwnej górze buchała jasnym płomieniem, cała komenda stała pod bronią.

— No dobrze, pomyślał sobie, w Kamieńcu muszą już wiedzieć o niebezpieczeństwie, a my tymczasem, czekając na odsiecz bronić się tutaj będziemy. Ale gdzie nieprzyjaciel?

Cisza była wokoło, nigdzie gwaru i szmeru. Cóż to jest, czy się ulękli?

Kiedy pan porucznik szukał nieprzyjaciela, kapral zbliżył się do niego, salutując według regulaminu i zaraportował:

— Wysłaniec z za Dniestru, od pana podczaszego litewskiego czeka pod bramą. Utrzymuje, że ma pilną do pana porucznika korespondencyę; co z nim pan porucznik zrobić rozkaże?

— Jaki wysłaniec? to konfederaci!...

— W jednej tylko osobie, podoficer z oddziału nadwornych huzarów starosty czereszynskiego prosi o posłuchanie.

Goliszewski osłupiał. Straszne sny — to zmora tylko, ale alarm — to już na jawie! Całą załogę Kamieniecką podnieść na nogi i to bez

powodu, a niech to licho porwie — zaklął siarczyście.

— Gdzie posłaniec, zawołał z gniewem, to pewnie szpieg, podejść nas chce.

— Proszę więc zawiązać mi oczy! odezwał się rezolutnie głos z za bramy — i aresztować, ale wpuścić w końcu, bo przemokłem do nitki, a wiozę z sobą odpowiedź na listy pana łowczego koronnego i pana generała.

Nie było rady. Rozjątrzony dowódzca polecił zadość uczynić żądaniom kuryera, z zachowaniem wszelkich ostrożności, a sam wrócił do izby, przemyслиwając, jak się wykręcić potrafi przed komendantem z tego fałszywego alarmu.

Istotnie nie mało strachu napędził gorejącymi wiechami. Zaraz bęben i trąbka uderzyły pobudkę w Kamieńcu i wojsko zajęło wskazane stanowiska. Noc ciemna powiększała trwogę. W jakiej nieprzyjaciel sile? Może już pod murami warowni? Wiedzieć przy tem należy, że „niezwyciężona“ twierdza wcale do tego tytułu nie miała prawa, bo opatrzenie jej było więcej niż skromne, i dopiero Witt zabierał się do łatania ścian rozwalonych... Lęk tedy wielki padł na mieszczan ze snu spokojnego zbudzonych, z po-

czątku myśleli oni, że ogień w mieście. Rzucili się do okien, patrzą na wszystkie strony, ciemno. A trąbka gra nieustannie, klekot bębna rozpływa się po ulicach i ginie w skał załomach, ruch niezwykle się wzmacnia, kompanie żołnierzy kłusem przebiegają place, komenda się rozlega, sam generał poleciał do zamku. To już coś gorszego niż ogień, nieprzyjaciel pod murami miasta! Mieszczanie znosili dobytek do lochów, chowając w nich kosztowniejsze sprzęty, odważniejsi dachy okryli zwilgoconymi szmatami, nie bacząc na to, że deszcz padający zabezpieczał je dostatecznie.

Jak to zwykle w takich wypadkach bywa, znalazł się ktoś, co słyszał strzały armatnie, innego słuch obostrzony trwogą, podsłuchał okrzyków bojowych, inny znowu widział pękające granaty, bielejący obóz turecki od strony podzamecza, Lipków chocimskich od ruskiej bramy, a konfederatów w około i miasta i zamku.

Sądny dzień nastał w spokojnym grodzie; pan łowczy bawiący tu chwilowo, w starościńskim domu rozlokowany, kazał się pakować co prędzej, słowem nikt nie spał przez noc całą. Placówki strażnicze ściągnęły do miasteczka

przez laską bramę, nie widziały one nic, toż ich zadaniem było umknąć co prędzej z wedety po dokonaniu powinności.

Ale oto wiechy podopalały się, nastał pożądany ranek.

Nieprzyjaciela jak nie widać, tak nie widać.

Rada wojenna zebrana na prędce, postanowiła sukursować paniowiecką placówkę i podjazdem pomknęła w tę stronę chorągiew dragonji. Jakież było zdziwienie pana Jełowickiego, dowódcy rzeczonyj chorągwi, kiedy się przekonał, że ów groźny nieprzyjaciel reprezentowany jest przez huzara, wysłanego z listem na imię Golszewskiego adresowanym. Nie myśląc wiele, Jełowicki zabrał z sobą i porucznika i konfederata do Kamieńca.

Trudno było do kieszeni schować posłańca konfederackiego, więc jechał sobie buńdziucnie, otoczony strażą z dobytymi pałaszami, a taki miał mundur jaskrawy, tyle sznurków misternie ukręconych i kutasów strzępiastych zdobiły jego kurtkę, że mimowoli rzucała się w oczy mieszczanom.

— Jeniec, jeniec, widzisz go panie Kajeta-
nie, mówił przez nos słuszny obywatel ormiań-

ski do swego sąsiada, przypatrującego się pilnie niezwykłemu gościowi, prowadzonemu pod eskortą.

— Cóż to! jeden tylko, odrzekł zagadnięty sąsiad. Ot spytajmy którego z żołnierzy, co to jest takiego?

— Panie kapral... a ile ich wzięli w łyka?

— Tylu co widzicie, odrzucił dragon poprawiając coś koło konia, i zaśmiał się głośno, a potem wskoczył na siodło, dał ostrogę szkapie i dopędził kolumnę.

Pan Kajetan z rozwartemi szeroko usty, stał chwilę, ścisnął ramionami i wyszeptał półgosem:

— Awantury jakieś!

Że dowódzca paniowieckiej luki dostał surową admonicyę, o tem czytelnik nie wątpi. W końcu przyszło do odczytania fatalnego listu. Wzywał w nim pan podczaszy litewski Goliszewskiego, aby na czele pocztu stawił się dnia następnego pod wałem Trajana, gdzie otrzyma ostateczną na propozycye królewskie odpowiedź...

Witt się w pierwszej chwili zawahał. A nuż palnie jakiego byka porucznik, bo że niezdara — o tem się już miał czas przekonać, ale z drugiej strony Najjaśniejszy pan tak napiera o od

powiedz, a ci olbrzymi buntownicy tak są kapryśni, że gotowi się jeszcze obrazić, jeśli im poszle kogo innego.

Po krótkim więc namyśle rzekł generał do Goliszewskiego :

— Dużo narobiłeś niedorzeczności, teraz odkrywa się dla waści pole naprawienia tego wszystkiego. Popiszesz się dobrze, twoje szczęście, a nie, to wówczas nie miej do nikogo pretensyi...

— Ale względem tych wycieczek z Paulucową, odważył się napomknąć porucznik, może tam wiedzą i o moich.

— Nic nie wiedzą, bo nic nie było, przerwał mu groźnie komendant, nic nie było, rozumiesz waść! A wysłannikowi Jego Królewskiej Mości, na czele pocztu jadącemu, włos z głowy pewnie nie spadnie... }



V.

Wspaniale wygląda wał Trajana. Olbrzym ten ciągnący się mil tysiące, dosadnie odzwierciedla rzymską potęgę! Żelazna wola kierowała tą robotą, której się celu domyśleć nawet dzisiaj nie można, żelazne skuteczniły ją siły! Miliony rąk składały się na utworzenie nasypiska, w niektórych miejscach pługiem rozoranego, w innych zaś kilkowiekowym porośłego lasem.

Na stepie ujrzyjskim zachował on jeszcze teraz wiele imponującej powagi. Od Dniestru podnosi się po pochyłej płaszczyźnie coraz wyżej; po grzbiecie wzgórza od wschodu na zachód wije się jak wąż ogromny i ginie na równinach Prutu. Przecięty drogami do nielicznych osad prowadzającymi, szeroki u podstawy, formuje właściwie dwa wały obok siebie równo-

legle bieżące, dwie ziemne ściany, pomiędzy którymi wygodnie kilku jeźdźców pomieścić się może. Gęsta trawa i polne kwiaty bujnie rozrastają się w cieniu, strzelając ku górze wonnemi a różnobarwnemi kielichami; strojna i wiotka dziewanna dosięga tu wzrostu niemal dwu-łokciowego, ślasy rumienią się wdzięcznym kwieciami, tymiany wyglądają jak krzewy, a ostróżki i groszki na zielonem tle jaskrawe tworzą girlandy. Od niedawna i błękitny bławatek wkroczył nieśmiało z łąnów sąsiednich na międzywałową dolinę... bo dzisiaj węża tego z obu stron ściskają pola zasiane zbożem różnego rodzaju, a przed stu laty leżał on swobodnie w stepie dziewiczym, wcale jeszcze przez pług nietkniętym.

Tutaj to dążył porucznik Goliszewski na czele swojego w dwójki uszykowanego oddziału. Dzień się miał ku schyłkowi, a pogodny był i piękny. Spalone od słońca trawy zdały się podnosić po orzeźwiający deszczyku, który spadł przed kilku dniami. Szeregowcy zaciekawieni a niespokojni, poglądali przed siebie, nie rozumiejąc celu podróży; pan porucznik chwilami zniej się cieszył, a chwilami przeklinał, to zda-

wało mu się, że reprezentuje wysłannika Rzeczypospolitej, to znowu miał jakieś złe przeczucie, bo skąd pewność, że Paulucowa przed zgonem nie uczyniła zupełnej spowiedzi?

Ale otóż wał — miejsce schadzki. Rozglądął się porucznik i w oddaleniu na nasypisku dojrzał jeźdźca, który snąć czekał na niego, bo spostrzegłszy oddział, dał hasło, i jakby z pod ziemi wysunęło się za nim kilkudziesięciu żołnierzy. Porucznik liczył, naliczył czterdzieści, oprócz dowódcy, ani mniej, ani więcej jak u niego, umowy więc dotrzyмали rebelizanci. To mu dodało otuchy; w wypadku nieporozumienia i przetrzepać się można...

Naczelnik konfederatów podskoczył do Góliszewskiego.

-- A to jako żywo pan Józef Biernawski.

-- Na usługi wasze, kochany panie Tomaszu, odezwał się wesoło przybyły, ja to właśnie zostałem wydelegowany przez pana podczaszego dla deliberowania z wami, pozwólcie jeno pozdrowić waszą komendę, znajomi przecie, służyliśmy niedawno w jednym regimencie...

Wiara nie ruszając się z szeregów, serdecznem powitaniem odpowiedziała na odezwę

Biernawskiego, wszyscy jak jeden człowiek, jakby na komendę „skwerowali“ swojemu kompanowi.

Nie podobało się to Goliszewskiemu, odwrócił się, spojrział surowo ku żołnierzom i zawołał:

— Baczność!

— Przepraszam kolegę. tłumaczył się Biernawski, ale tak głośno, żeby go wszyscy słyszeli, my tu po republikańsku postępujemy. *Ge-mejn* czy luzak jest zarówno obywatelem kraju, jak urzędnik ziemski, a choćby senator, byle był dzielnie nieprzyjaciela, więcej od niego nie wymagamy.

Republikańskie zapatrywanie się konfederata na stanowisku żołnierza podobało się wszystkim. Sierżant jadący za Goliszewskim, poprawił się na siodle i spojrział znacząco na swego sąsiada, także nie młodego już szeregowca. Stanowili oni głowę kolumny, reprezentowali też głowę i w tym małym oddziale, bo pan porucznik, jeżeli ją miał, to wyłącznie dla siebie.

— Ale zagadałem się, a tu wieczór blisko, że jednak jestem zastępcą gospodarzy, pozwólcie, abym was poczęstował czem Bóg dał. Proszę waszmościów do żołnierskiej gospody.

To mówiąc, dostał się do rowu rozdziela-
jącego wały i drogą tą popędził w górę, za nim
Goliszewski z komendą, potem dopiero hufiec
konfederacki.

Na zakręcie zatrzymał się Biernawski.

— Otóż i gospoda! zawołał.

Istotnie na polance bok jeden Trajanowego
nasyńska był rozkopany, a pod karłowatym
drzewem figurowała beczułka piwa na krosien-
kowatych nóżkach ustawiona, tuż obok na sto-
liku, z nieogładzonych tarcie zbitym, chleb, bryn-
dza, wędliny i kilkanaście kublów glinianych,
które reprezentowały kredens obozowy, nad
wszystkiem zaś trzymał straż milczący pacholek.
Na boku białały na kołkach rozpięte płócienne
„treptuchy“ po sam wierzch owsem napełnione.

Parę mil drogi ubieżonej, jak przez jedną
tak przez drugą stronę wpływ miały zbawienny
na apetyt. Częstunek nie był potrzebnym; spory
zapas zakąski znikł w oka mgnieniu.

Oficerowie usunęli się na stronę dla narady,
a żołnierstwo zostało samo, gawędząc serdecznie
i ochoczo, jako synowie jednej matki. Dziwnem
się to na pozór wydaje, a jednak tak było.
Walka przekonań dzieląca na obozy ludzi sto-

jących na czele, nie wnikała w masy walczące; co więcej, nawet i ci dowódcy często rano modlili się jednocześnie w jednym kościele, w dzień się przetrzepali, a wieczorem pod jednym dachem bawili się serdecznie, prawiąc sobie wzajemnie grzeczności i rozchodzili się o północy, wyściskawszy się na to, by jutro zacząwszy od pacierza, znowu się wziąć do szabli...

Podczas konfederacyi barskiej, tak to weszło w zwyczaj ogólny, że nawet oficerowie rosyjscy ulegli temu przykładowi. W dzień się potykali ze związkowymi, a całe noce spędzali z nimi na hulankach, co niewymownie oburzało Salderna. Gniewał się na to do tego stopnia, że aż o tem pisał do Petersburga. I tutaj powtórzyło się to samo co do litery. Młody huzar przybyły z panem Biernawskim zwijał się pomiędzy regalistami, a był to chłopak zręczny, pokojowiec pana Kazimierza Pułaskiego, przedzierzgnięty jak i jego pan w dzielnego partyzanta. Odbył już niejedną batalię, wąchał prochu pod Barem, bronił potem warowni berdyczowskiej, z niemałym kłopotem przedarł się do obozu pod Neli-powcami. Huzar widocznie był ze swego stanu zadowolony, ponętnie więc malował kolegom

z za Dniestru rozkosze stepowego życia, dbałość dowódców, ojcowską ich opiekę... Przybysze słuchali, poglądając po sobie z pewnego rodzaju zazdrością.

Trzeba zaś wiedzieć, że i kompania panowiecka i hufiec związkowych niegdyś pod jednym służyły znakiem, należąc do regimentu królowej. Prawda, że królewscy żołnierze okazalej wyglądałi niż konfederaci. Konie jednomastki, odzież niewytarta, karabiny nowe, łęki wygodne; kiedy rycerze stepowi nie bardzo dbali o formę. Jeden z ubioru przypominał pocztowego od husarzy, drugi pancernego, znowu inny towarzysza lekkiej kawaleryi. Rzędy na koniach przeróżne, terlica, czy jarczak, czy turecka kulbaka, jak Bóg dał. Za to już każdy związkowy miał ładownicę blachmalową z czerwonej skóry, obwieszoną srebrem, z kawalerskim krzyżem pośrodku, każdy dźwigał pięknie polerowany ryngraf na piersiach, a fantazyi było przy tem co niemiara. Każdy myślał na seryo, że do zbawienia Polski przykłada rękę, gotów by był nawet wierzyć, że zbawienie świata na nim polega, gdyby o świecie po za Rzeczpospolitą egzystującym miał jakiebądź wyobrażenie.

— Toż waszych, mówił huzar do przybyłych, daleko jest więcej pośród nas, jak tam w Kamieńcu! Przy królu jedna tylko chorągiew została, inne utracił cofający się pan regimentarz podolski

— Właściwsza jest zostać przy królu, bo to regiment królowej, odezwał się śmielszy z komendy paniowieckiej, i *łafa* przytem dochodzi, i krzywdy człękowi nie czynią.

— Ono to tak... I słusność byłaby przy was, gdyby jeszcze król miał żonę, gdyby żył pułkownik Węgierski, a to słyszę na jego miejscu jakiś tam kozaczek ze stajni pańskiej regimentarzować wam będzie.

Przymówka tyczyła się Byszewskiego, któremu właśnie regiment Węgierskiego oddał Stanisław August.

— Skąd wy to wszystko wiecie? pytał sierżant z komendy Góliszewskiego, nas to obchodzi bliżej, a po raz pierwszy o tem słyszemy.

— Bo przed wami ukrywają oficerowie, co się w sztabie dzieje, a z nami tutaj za pan brat starszyczna.

Oponent zamilkł, a narrator spojrział po otoczeniu. Pierwsze lody były pęknięte widocznie, zaczęły się potem narzekania, szept, półsłówka, w końcu uściski, okrzyki, i wreszcie zabrzmiała jednym chórem pieśń konfederacka.

Składnia jej była kantyczkowa, nuta kościelna, poważna, a jednak od początku zawieruchy barskiej aż do końca wywierała ona olbrzymi wpływ na słuchaczy, jakby wszystkie uczucia obozu protestującego wobec Boga, świata i Rzeczypospolitej zamknięte w niej były. Czytając ją dzisiaj, nie zrozumiesz miły czytelniku wrażenia, jakie odczuwali praojcowie nasi, słuchając bojowego śpiewu „rycerzy Maryi...“ W świątyni, a nucono ją po przybytkach pańskich, jeżeli kollator do związku należał, Barszczanin przyłączał się do chóru, ruchami zdradzał uniesienie, wybijał takt, uchylał głowy na znak głębokiej konwikcyi, dobywał szabli, jak podczas czytania ewangelii na znak gotowości bronięcia każdego słowa w niej wypowiedzianego. Kto ją ułożył? Kiedy mianowicie do życia powołaną została? Okryła to tajemnica na zawsze. Utrzymywano powszechnie, że ks. Marek w chwili natchnienia wiązał ją w rymy niekun-

sztowne... Bardzo być może. Brak zdolności pisarskiej i znajomości zwykłych form retorycznych przebija w niej wszędzie, a wiadomo, że orędownik związku barskiego, ów mnich tajemniczy i niezwykły, był prostaczkiem pod względem nauki światowej, wierzył jak wierzyli pierwsi chrześcijanie, i wiarę udzielać umiał nie tylko ciemnym tłumom...

Pieśń konfederatów i marsz Dąbrowskiego, to jakby wieczyste echa przeszłości, pełnej zawodów i nadziei, tęsknoty i fantazyi. Rewolucya Kościuszkowska i Napoleońskie boje miały pełno okolicznościowych piosenek, ale żadnej, któraby górowała nad inne, którąby wszystkie powtarzały usta.

Wróćmy do naszej opowieści. Panowie naczelnicy debatowali w stepie. Biernawski, główny aktor w tej sprawie, komicznie potem opowiadał, jak sobie głowę suszył nad wygłoszeniem oracyi do kolegi, a szło mu tylko o przedłużenie konferencyi, polecenia bowiem od naczelników związku nie miał żadnego. Zyskać na czasie, to było jedynem jego zadaniem, więc wszystkie ustępy, jakie jeszcze ze szkół jezuickich z syntaksy wyniósł, przypomniał teraz

sobie... i tak potrafił kwiecistą bez treści przymówką zaimponować Góliszewskiemu, że ten z powagą słuchał wygłaszanych bredni, a może myślał, że po wstępie z kolei wyłuszczenie samej rzeczy nastąpi. Dopiero śpiew jako hasło umówione rozwiązał Biernawskiemu ręce.

— Cóż to jest? spytał niespokojny porucznik.

— Hula sobie wiara, odrzucił mu kolega, ale jeżeli chcecie, pójdziemy zobaczyć.

— A deliberacye?

— Później, uspokójmy wprzód komendę.

Z przybyciem jednak oficerów scena się nie zmieniła: żołnierze zbratani stali w jednej gromadce, wcale niepodobnej do dwóch odrębnych hufców, należących do dwóch nieprzyjacielskich obozów.

— Do szeregu! zawołał Góliszewski.

Żaden żołnierz ani się ruszył. Porucznik pobladł z gniewu i porwał się do pałasza.

— Za pozwoleniem, rzekł poważnie Biernawski, któremu huzar pana starosty czereszynskiego dawał pewne znaki, za pozwoleniem, powtórzył, wstrzymując porucznika za rękę.

Widzę, że podkomendni waści nie przestali być obywatelami Rzeczypospolitej, więc proponuję w imieniu związku, ażali nie zechcą uczynić do niego akcesu?

— Prosimy! pragniemy! zgoda!... Niech żyje konfederacya! odezwano się z tłumu.

— Wszyscy?

— Co do jednego, zakonkludował przybyły z Paniowiec kaprał, wysuwając się naprzód...

Goliszewski, widząc dezercyę całego oddziału, stał niemy z gniewu i osłupienia.

— Trudna rada, mości poruczniku, ozwał się tonem żartobliwej kondolencyi Biernawski, trzeba się pogodzić z losem. Żołnierze twoi pod naszym chcą walczyć sztandarem; wrócisz waćpan sam do domu.

— W łeb palnę pierwszemu! zawołał pan Tomasz, a to bunt oczywisty! Wyrażne gwałcenie praw przysługujących wysłannikowi! wołał dalej zaperzony i zaalterowany.

— Ciszej, ciszej, szepnął mu do ucha kolega. Czy mam zebranych tu konfederatom opowiedzieć, jakie funkeye pełniłeś waćpan, dopomagając zdrajczynie Paulucowej?

Goliszewski zadrżał, twarz jego okryła się bladością.

— Wiem o wszystkim, ciągnął dalej Bierdawski, widząc, że wrażenie na słuchaczu uczynił. Wedle artykułów wojskowych, czeka cię haniebna szubienica, ale zachowam rzecz w tajemnicy, wynoś się tylko co prędzej... Oto masz respons od podczaszego. Żeby ci jednak nie było smutno powracać, dam piękną odaliskę, którą nasi ludzie odbili u Budziackich Tatarów, odwieziesz ją łowczemu koronnemu, pewnie ci wdzięczny będzie za ten darunek! dodał z filuternym uśmiechem...

I na dany znak z za wału wysunął się karabon, czterema wołami ciągniony. Na nim zaś spoczywał kosz nie kosz, pudło nie pudło, a coś pośredniego między pierwszym a drugim. Buda ta szczelnie ze wszech stron zamknięta, posiadała z boku niewielkie okienko.

— Oto branka w tej kryjówce! Zdaje się, że wschodnia w niej krew płynie, języka naszego nie rozumie. Dla bezpieczeństwa dodaję ci sześciu żołnierzy, którzy ją odeskortują aż do bramy lackiej. Jedź szczęśliwie, a drugi raz

dodał ciszej, nie próbuj rzemiosła, które z powołaniem oficera Rzeczypospolitej nie licuje.

Goliszewski wracał na podolską ziemię bez pocztu, pocieszając się przynajmniej, że nie z pustymi, jak to mówią rękami, wiózł bowiem odpowiedź p. Joachima Potockiego, wiózł jakąś piękność tajemniczą... Spodziewał się więc biedny porucznik, że posługą tą potrafi ułagodzić gniew pana łowczego, ale co komendant na to wszystko powie?

Pod wpływem smutnych myśli odbywał podróż, która całą noc wypełniła. Myślał nad tem, jakby tu za czterdziestu zbałamuconych żołnierzy, bodaj tych sześciu zatrzymać, co mu służyli za eskortę, ale na drodze nikogo nie spotkał, wedety przy wiechach były ściągnięte, żerdzie przedwczoraj spalone, nie ustawiono ich jeszcze, więc i straż niepotrzebna. Z pudła na karabonie, dobywały się niekiedy przyciszone jęki, ale je natychmiast mitygował dowódzca eskorty, który nachylał się do okienka, i nakazywał milczenie tajemniczej brance.

Bez przygody, dobrze jeszcze przed świtaniem, stanęła cała kawalkada u bramy miejskiej.

Konfederaci pożegnali porucznika i tęgim kłusem pomknęli przez lackie gumniska, on zaś w towarzystwie poganiacza wołów, wylękłego Mołdawiana, wtoczył się z karabonem w wąską ulicę Batorego; a poleciwszy strażnikowi, aby kolasę odprowadził do starościńskiego pałacu, sam podążył do pana Branickiego.

Łowczy zbudzony, przywołał porucznika, odczytał list, w którym zawierała się tylko prośba o opiekę dla branki, jako dla słabej kobiety...

— Widziałeś waćpan niewolnicę? spytał porucznika spieszenie narzucając szlafrok...

— Nie widziałem panie regimentarzu, zabarykadowana w karocy...

— Mówiła co do waszmości?...

— Ani słowa; słyszałem tylko jej żałośnie jęki.

— Gdzieżeś ją ulokował?

— Czeka tu na dziedzincu...

Pan łowczy zaciekawiony wyskoczył z pokoju. Pacholek starościński niósł za nim światło, drugi z niezwykłym pośpiechem odmykał

puddo. Nareszcie drzwiczki rozwarły się, wszyscy zaglądnęli do jego wnętrza...

Pierwsze co uderzyło widzów — była to jakaś olbrzymia masa... Z kolei dojrzano, że postać ta ma twarz dużą jak patelnia z wiszącym podbródkiem, z małutkimi oczkami, z nosem krótkim a spłaszczonym. Czepiec pomięty i zbrukany, okrywał włosy w nieładzie spadające na szyję.

— Cóż to za monstrum?! zawołał pan łowczy.

— A toćto jaśnie wielmożny panie, ciotka Paulucowa z lackiej dzielnicy, co sadło sprzedaje! odezwał się rozśmiany na całą gębę pacholek.

— Jezus, Marya, Józefie święty, gdzież to ja znowu jestem! zawołała kabaniarka.

— Wyłaż przekłeta babo, wrzasnął łowczy, domyślając się, że mu figla wypłatali konfederaci.

— Nie mogę, odezwała się ciotka molestującym głosem, jestem uwiązana!

Goliszewski stał znękany na boku; wołałby, żeby się wówczas ziemia pod nim zapadła.

Paulucowę odesłano do komendantury, gdzie podążył także i porucznik. Wylękała niewiasta doręczyła panu Wittowi list od księdza biskupa. Pasterz złożył dowody złościwości nie małej. Oto dziękował w nim generałowi, że żywił przez parę tygodni zgłodniałe rzesze konfederatów i że przyczynił się do powiększenia zbrojnego ich zastępu, przysyłając kompanię żołnierzy, którzy dobrowolnie przystąpili do związku. Stąd wyrastał, jako konkluzya punkt trzeci, że oni, to jest starszyzna, nie mogą czynić recesu, kiedy do konfederacyi napływają tak licznie prostacz-kowie, nierozumiejący zawiłych polityki kombi-nacyj. Za to wszakże wszystko J. Ekscelencya wdzięczność chcąc okazać, odsyła Paulucowę, agenta dyplomatycznego pana generała, żywą i zdrową, ale bez „addytamentów alimentarnych“, bo te czuł się w prawie rozdać żołnierzom. Na-koniec nie zatrzymuje i Goliszewskiego, związek bowiem nie zniósłby w szeregach swoich oficera, który się splamił niecną rolą szpiega.

List ten był powodem długiej między ka-mienieckimi dygnitarzami poswarki. Pan Witt nosił przez całe życie w sercu rankor do księ-

dza biskupa, a los chciał, żeby całych lat siedmnaście w jednym potem przebywali mieście.

Na drugi dzień stawił się u łowczego komendant.

— A co generale, wystrychnęli nas na dudków ci oczajdusze z za Dniestru. Zawsze powtarzałem Jego Król. Mości, że tylko surowością można poskromić ich swawolę, ale Miłościwy Pan łagodności próbuje, nim się zabierze do energicznego tępienia buntowników... Przyznaj jednak, dodał z uśmiechem, że srodze z nas zadrwili, że twój wybór nie był szczęśliwy... Chyba już ludzi tu brak zupełny?

— Są, odparł pan Witt z godnością, ale ci nie posiadają kwalifikacji potrzebnych do podobnej funkcji. Poświęcenie, miłość kraju, może zachęcić do najniemilszych czynności, ale szpieg kupiony, będzie zawsze takim, jak ci, których użyliśmy niedawno...

— Jabyłm innego był zdania, odparł kwaśno łowczy, spierać się wszakże nie myślę; zresztą mniejsza tam o to, proszę tylko, niech cała ta sprawa w tajemnicy zostanie.

Jakoż milczano, póki pan łowczy nie wyniósł się z Podola, co jednak bardzo prędko na-

stąpiło.,. Laurów u nas nie zdobył, a i dawne, nie na polskiej uszczknięte ziemi, zwiędły na jego czole. Wojska królewskie pociągnęły za łowczym w głąb kraju na kantony, zastępom aljanckim zostawując swobodne pole działania.

Goliszewski rzucił służbę, podobno w zawo-dzie klasztornego kanafarza szukając pociechy.

Biernawski bił się jeszcze długo, potem zaznał różnej doli w tułaczce, a w końcu wrócił z panem Joachimem Potockim do kraju, a przyjęty do wojska, jako major poległ pod Maciejowicami.

Paulucowa zasiadła znowu u straganu, ale współzawodniczki dowiedziały się o jej przygo-dach, stąd urosło pełno niepoehlebnych przy-domków, któremi ciotkę obdarzano sownie. Je-den z nich „nieboszczka Turczynka“, najdłużej się utrzymał. Przyznać potrzeba, że nauka nie poszła do lasu, i że ciotunia ani tak rezolutna, ani tak swarliwa jak dawniej już teraz nie była. Żyła długo jeszcze, i grosza zebrała sporo, aż pod koniec jej żywota zjawił się jakiś Pauluc i to jeszcze z progeniturą. Jemu przypadł spa-

dek po zmarłej... Do dziś w mieście jest dom, noszący jej nazwę, choć Paulurowie dawno już wygaśli.

Taki był koniec zabawnej przygody, którą tu wiernie powtórzyłem.

KONIEC

OFICYALISTA STAREGO AUTORAMENTU.

Sylwetka z Przeszłości.

I.

Pan Łukasz herbu Nowina, nosił skromny tytuł wojskowego grodzkiego łączowskiego *non beneficiatus*, ale też zarazem był „lustratorem dóbr koronnych J. O. księcia Augusta Czartoryskiego, wojewody ruskiego.“ Nie podajemy tutaj nazwiska naszego bohatera, nie chcemy bowiem jego potomkom wyrządzać przykrości, dorobiwszy się bowiem majątku, ubrali w dziewięć pereł tarczę herbową, wywodząc się od antenatów na Pomorzu kwitnących, choćby daleko stosowniej było szukać ich na ubogich cmentarzyskach kresowych.

Ale Bóg z nimi! Może słuszny rankor mają w sercu do pana Łukasza, że nie zostawił im w spadku nic prócz pocziwego imienia. A wszakże lustrował wszystkie małopolskie dobra wojewody,

z kolei potem i dobra jego syna, generała ziem podolskich — i to lustrował przez całych lat czterdzieści z niezwykłą sumiennością, układając potrzebne o nich relacye.

Nim rozpocznę moje opowiadanie, muszę was pierwej zaznajomić z tym urzędem. Dziś on nie egzystuje, bo nie ma racyi bytu. Takich majątków, jakie posiadali Czartoryscy w końcu pierwszej i na początku drugiej połowy XVIII. stulecia, nie znajdziecie już teraz na całym obszarze ziem, należących niegdyś do Rzeczypospolitej. Pod względem bogactw postawić ich można było zaraz po Radziwiłłach, chociaż co do dochodów państwo Nieświeskie stało daleko niżej. Koniecpolskich fortuna już się wówczas rozpadła; Lubomirscy władali wprawdzie znacznemi obszarami ziemi, ale nie korzystali z niej wcale; a Potockich fortuna, rozdrobiona między liczne tego domu konary, dopiero około 1760 r. albo i później jeszcze zlała się w jedną wielką schedę w rękę Franciszka Salezego, zwanego „królikiem ruskim.“

Nowina więc był lustratorem u najbogatszego pana w Polsce, a dodajmy u najrzędniejszego, najbardziej wnikającego we wszystko.

Maszyna administracyjna, raz nakręcona przez wojewodę, szła jak zegarek, nad wszystkim jego czuwało oko, a sprawozdania lustratora służyły mu za wskazówkę, kędy jakie należy zaprowadzić zmiany.

Lustrator prywatny, jak lustrator królew-szczyzn, jednakie miał zadanie; zjeżdżał on do danej posiadłości i wszystko badał na miejscu; a sprawozdanie pierwszego było daleko więcej szczegółowe, bo kiedy lustrator królew-szczyzn doszukiwał się funduszów, chcąc oznaczyć wysokość kwarty, tamten opisywał gospodarskie zabudowania, remanenta, dochody z arend, młynów, stawów, poczem szły rejestra poddanych i ciężące na nich powinności, z rozmaitemi notatkami historycznego i ekonomicznego znaczenia. Mówiło się w nich naprzykład często o spustoszeniach tatarskich i „od żołnierza“, o inkursjach hajdamackich, o rabunkach popełnionych przez aljanckie zastępy, o powietrzu i o jego szkodliwych wpływach na cyfrę ludności. Potem szła rzecz o rzemieślnikach wioskowych, o kmieciach „ciągłych“ i o „podsadkach, na pańskiej strawie“ zostających. Kończyła rachunki osobna kategoria tak zwanych danin, słowem, mnóstwo

ciekawych szczegółów, i stąd lustracya miała wiele podobieństwa do wizyt kościelnych i inwentarzów gospodarskich z XVII. stulecia, tak skwapliwie dzisiaj przez komisję kijowską ogłaszanych drukiem.

Niedawno dowcipny jakiś korespondent *Gazety Warszawskiej* żartował sobie w najlepsze z ludzi zbierających podobne dokumenta. Redakcyja zapewne podziela poglądy owego pana, kiedy jego pisanie wydrukowała. Snać duch ojca Łuskińy nie przestaje swego piskłęcia otulać skrzydłami pobożnej opieki. Bo kiedy ów skryptor śmieje się z kogoś, co stare zbiera papiery, ja tymczasem mam sobie do wyrzucenia, żem właśnie czterdziestoletnią pracę p. Łukasza wypuścił z rąk i dał jej zmarnieć zupełnie.

Kto z nas ma rację, niech rozstrzygnie czytelnik... co do mnie mam okoliczności łagodzące. Przestraszyłem się ogromu; bo było blisko 60 foliantów, a jeszcze brakowało lat kilku, każdy rok bowiem z dwóch składał się fascykułów, jeden stanowił streszczenie sprawozdania i składany był w oryginale dziedzicowi, drugi zawierał rozmaite annexa, wyjaśniające miejscowe stosunki danej posiadłości. Przepatrzyłem

wprawdzie wszystkie, nawet niewielkie z nich poczyniłem wyciągi, ale to kropla w morzu w stosunku do całej pracy.

Powtarzam raz jeszcze, choćby nie jeden, ale stu korespondentów śmiać się ze mnie miało, że wyrzucam sobie do dzisiaj obojętność dla ksiąg zapisanych ręką pracowitego lustratora. Już z nich snadno mogłeś poznać człowieka. Wojski był bardzo akuraty, sprawozdania swoje umieszczał w foliantach jednakowych rozmiarów, jednakowo oprawnych, jednakowo zaryglowanych, na jednakowym papierze, jednakowym kreślił je atramentem, a co ciekawsza, kaligrafia nie uległa żadnej zmianie przez cały ciąg lat czterdziestu... Czy tu wprawa znaczyła wiele, czy może raczej był to wynik porządnego, poczciwie a pięknie spędzonego żywota? Mnóstwo uwag nastroczała mi owa praca Nowiny i ekonomicznych i administracyjnych i archeologicznych potrosze... Najprzód wyprowadziłem wniosek, że zarząd majątkowy, jak i fabrykacya papieru nie uległy u nas żadnej zmianie przez cały ciąg panowania Augusta III., powtóre ten atrament dał mi dużo do myślenia!... Na podobny inkaust w dzisiejszych czasach nie zdobę-

dziemy się. Nasz wypełnienie w jakie ćwierć wieku, a następcy nasi dokumentów po nas przechowywać nie będą — i dobrze... bo nie warto...

Tyle co do zewnętrznej wartości pracy, ale i wewnętrzna była nielada! W opisie naprzykład domu komisarskiego albo podstarościńskiego, najprzód szła jego długość, wysokość, liczba okien, potem dach, ściany, izby, piece, podłogi, drzwi, klamki, haczki, skoble, meble, jeśli były skarbowe, ich stan, registr „wymaganych reparacyi“, ilość materyału potrzebna dla doprowadzenia ich do porządku, jeżeli materyał znajdował się na gruncie, a jeżeli się nie znajdował, to suma potrzebna do jego zakupienia. I tak od ćwieczka, aż do remanentu ruchomego i nieruchomego, do zapasów zboża w stertach, spichrzach, wszystko z całą należało opisać subtelnością, wyciągnąć dochód, wykazać wydatki, nawet sperandy zysków przy zaprowadzeniu pewnych melioracyi.

Nie zapominajcie, że Nowina nie w jednym kluczu, ale we wszystkich dobrach koronnych wojewody układał rok rocznie podobne sprawozdania. Wzmiankowaliśmy o koronnych, bo było

i litewskie, ale te należały do innego lustratora...

Może pozwolicie, abym je tu choć pobieżnie wyszczególnił; sami się przekonacie, że wcale pokaźna wiązka. Tak, pod Warszawą klucz Willanowski, to zabawka pańska, bo stanowiła deficyt w bilansie przychodów, dalej szły Puławy w Lubelskiem, rezydencja wojewody; Klewańszczyzna na Wołyniu, która posiadała leśne niewyczerpane bogactwo, a składała się z miasteczka i 10 wiosek. Granów w Braclawskiem, który liczył 26 wielkich osad, gdzie długo panowała *słoboda*, a dochód stanowiły stopy, na których hulało swobodnie stado z 700 matek złożone, a wołów wypasano tysiącami, lud zaś obowiązany był tylko do służby kozackiej i dawał rekruta do pułku granowskiego, noszącego barwy książęce. Jak wiadomo, darował generał ziem podolskich pułk ten na usługi Rzeczypospolitej pod koniec czteroletniego sejmu. Na Podolu tak zwana Międzyboszczyzna stanowiła trzy klucze, w których skład wchodziło cztery miasteczka i sześćdziesiąt pięć wiosek z ludnością 18.687. Tu już było gospodarstwo rolne, gleba pszenna, dochody olbrzymie. W wojewódz-

twie ruskiem klucz brzeżański nad Żłotą Lipą, druga rezydencya wojewody, i dalej dobra jaroślawskie, sieniawskie i mikulinieckie. Tyle tego było do 1750 roku. W tym czasie przybyło jednak panu Nowinie do obrachunku dwa starostwa, Kamienieckie i Latyczowskie o 27 wioskach i 3725 poddanych, a w 1753 po rozkawałkowaniu dóbr ordynacyi ostrogskiej, dostały się księciu na spółkę z zięciem Stanisławem Lubomirskim starokonstantynowskie włości.

Były lata, w których lustracya obejmowała przeszło 200 wiosek, a dochód urastał do 2,500.000 zł., zatem do większej sumy, nad tę, którą Roeppell podaje w swojej zajmującej rozprawie. Co do liczby osadników, na gruntach księcia osiadłych, powiemy tylko, że w r. 1795 w prowincjach przez Rosyę zakordonowanych, więc w mniejszej połowie dóbr należących do Czartoryskich, liczono ich 43.566, cyfra dość imponująca, choć ją w tej epoce przewyższał Szczęsny Potocki, który miał około 130.000 poddanych.

Rozpatrując się w papierach, mimowoli dziwić się potrzeba ogromowi pracy naszego pana Nowiny. Trudno uwierzyć, żeby jeden człowiek,

przy tak pierwotnych warunkach lokomocyi, mógł podołać wszystkiemu, w stosunkowo krótkim czasie okresie. Rzućcie okiem na mapę, oznaczcie na niej trzy punkta: Sieniawę w ruskiem województwie, Klewań na Wołyniu i Willanów pod Warszawą, następnie połączcie je ze sobą liniami, a otrzymacie trójkąt, w którym jak w zaklętym kole kręcił się nasz bohater rok rocznie, i to przez całych lat czterdzieści... Ani razu nie wstrzymała go choroba, ani razu wypadki polityczne, ani razu osobiste interesa, ani razu zwykłe w życiu ludzkim przygody!

Przyznacie po tem wszystkiemu, że jeżeli wojewoda kunsztownie umiał nakręcać maszynę administracyjną, to pan Nowina w tej maszynie stanowił kółko nieocenionej wartości...

Długo szukał książę August Czartoryski człowieka godnego zaufania, aż mu go się wynaleść udało, i to bardzo prostym sposobem. Wiemy, że majątkości, które wyliczyliśmy, spadły nań po żonie, ostatniej z Sieniawskich, wdowie po Denhoffie, wojewodzie połockim i hetmanie litewskim. Po długich zabiegach złączył się z nią w połowie 1731 r.; a jeszcze nie miał czasu na życie uorganizować administracyi w nowych

nabytkach, kiedy August II. umarł i rozpoczęła się elekcyjna zawierucha. Księżę musiał się wynieść wraz z małżonką do Gdańska, tam znowu zatrzymała go długa samej pani choroba, w Gdańsku to bowiem ujrzał światło dzienne ks. Adam Kazimierz, ów słynny upadającej Rzeczypospolitej obywatel.

Nie odrazu przeminęła burza bezkrólewem spowodowana, a szalała ona najbardziej na Rusi i w województwach kresowych, gdzie najwięcej dóbr posiadał wojewoda. To też po ustaleniu pokoju, dopiero około r. 1739, księżę pan zjechał na kresy, aby obejrzeć swoje majątności. Zastał je w stanie opłakany... Wszędzie ruina! Dochody uszczuplone, gospodarstwo w nieładzie.. Wówczas to zapragnął mieć wierny obraz majątku, aby go mógł przekształcić na taki, jakim być powinien. Umyślił zatem zaprowadzić urząd lustratora generalnego, ale gdzie znaleźć do tej funkcyi przydatnego człowieka? Zwierzył się ze swojej troski przed p. Podoskim, podkomorzym rożańskim, który przebywał podówczas w Brzeżanach, a posiadał wielki wpływ na wojewodę, o czem wiedzieli wszyscy, mawiając, że Podoski *totam principis regit ut vult mentem*.

Właśnie przyszedł na myśl podkomorzemu w dobrą godzinę p. Łukasz Nowina, jego powinowaty, 25-letni młodzieniec, nad wiek poważny i stateczny. Wyrósł on na dworze wojewody podolskiego, Stefana Humieckiego, używany przez niego do rachunków, był nadto dobrym szlachcicem, i posiadał nawet niewielki kawałek ziemi, więc *bene natus et possessionatus*.

Stawił się Nowina na wezwanie do Brzeżan, a tak się umiał skromnym ukłonem podobać bogatemu panu, tak na pytania o rachunkowości odpowiadał przytomnie, że natychmiast stanęła ugoda. Pan wojewoda napisał własną ręką instrukcyę, polecił nowemu oficyaliście, aby od niej nie odstępował, dał prawo utrzymywania na koszcie skarbu pisarzy i kopistów, ilu ich będzie potrzeba, i naznaczył termin trzyletni na uczynienie ogólnej i szczególnej w dobrach koronnych rewizyi.

Zdziwienie księcia atoli było niemałe, kiedy pan Łukasz po dwóch latach, stanął przed obliczem pańskim z oznajmieniem, że wszystko według rozkazu uskutecznił. Z kim innym łatwa sprawa, ale nie z wojewodą, zawołanym swo-

jego czasu nietylko gospodarzem, ale i rachmistrzem. Z pewnem niedowierzaniem zabrał się do wertowania ksiąg lustracyjnych; dwa miesiące przesiedział nad niemi w Brzeżanach, dwa miesiące trzymał Nowinę, a jednak ani razu nie miał potrzeby przywoływać go do swojej kancelaryi, rejestra bowiem tak jasno były ułożone, tak żadnej w nich nie dostrzegł gmatwaniny, że w końcu uwierzył w sumiennosc i niepospolite zdolności pana Łukasza. Pomimo całej powagi i chłodu, rozentuzjzmował się dobry pan, dziękował lustratorowi, a dworzanie, widząc dowody łaski księżęcej dla ubogiego szlachcica, nadskaikiwali mu przesadzając w grzeczności.

Wcale to nie odurzyło Nowiny; skromny, cichy, milczący, zabrał przez siebie zapisane folianty, otrzymał nowe instrukcyje i na wózku puścił się w przydługą, bo całoroczną wędrówkę. Nie obrał jeszcze *locum staudi*, nie potrzebował go zresztą, bo nie miał żony i własnego gniazda.

Nie wbiło go w pychę uszanowanie, jakie mu okazywali oficjaliści. Wszędzie podejmowano gościnnie urzędnika, zaszczyconego jawnemi dowodami zaufania pańskiego. Dla niesumien-

nych było strasznie jego przybycie, ale że takich nie wielu znalazło się w dobrach wojewody, więc temsamem i zadanie pana Łukasza stawało się łatwiejszem. Znajdował pomoc i wszelką gotowość, a tego mu dość było.



II.

W cztery lata po wyżej opisanych zdarzeniach spotykamy naszego lustratora w Międzybożu. Założył tu swoją rezydencję, miasteczko bowiem najwięcej mu się podobało z tego szczególnie względu, że położone było we środku dóbr pod dozór jego oddanych. Czy bowiem na wschód rzucił się do Klewania, miał na drodze majątności granowskie; czy na zachód do Sieniawy, wówczas etapem dlań były Brzeżany i Jarosław; czy podążył do Willanowa, to o Puławy zawadzić mu przychodziło...

Znalazł tu odpowiednie towarzystwo. Przemieszkiwał w Międzybożu Francuz Dessier, stary oficer, faworyt Sieniawskich, który w roku 1702 osobistym mężstwem i przytomnością ochronił warownię od rozhukanego kozactwa, skąd po-

chodziła szczególna estyma nieboszczyka hetmana, wielkie względy i zapewniony byt do zgonu. Zaglądał także tutaj często i Jan Kampenhauzen, zięć Dessiera, niegdyś komendant Kamieńca, gorliwy obrońca hussaryi, który osiadł na starość w Rybiszkach, ale zjeżdżał do miasteczka, modlił się często w kościele w ciężką zbroję przybrany; potem rad, że ma cierpliwego słuchacza w panu Łukaszu, opowiadał mu o dawnych tryumfach, o wędrówkach po Europie, i faworach, jakich od nieboszczyka króla doznawał. Wprawdzie z towarzystwa tego nie długo korzystał Nowina, bo i stary Francuz i generał pomarli około 1750 r., ale zawsze przetarł się trochę, nabrał poloru potrzebnego... Jednak po zgonie onych ludzi, jakby do innej należącej społeczności, został jeszcze ks. Andrzej Topolski, probosz miejscowy, gorący przeciwnik Sasów, a co najważniejsza, zostały kobiety, mianowicie wdowa po Dessierze i jej kuzynki, panny Bykowskie, stolnikówny braćławskie.

Były one nad wszelki wyraz grzeczne dla młodego lustratora, a pan Łukasz, jakby odwzajemniając się, w ich obecności czuł się tak swobodnym, jakby w kółku rodzinnem przebywał.

Serce mu miękło, liczby, z którymi się nosił, usuwały się z pierwszego planu, błogość jakaś nieokreślona w piersi się jego rozsiadała, strzelała rozrzewnieniem z oczu, w błogi uśmiech ubierała usta, a krew burzyła szlachetniejszym zapachem... I gotów był wówczas Nowina rzucić fascykuły do pieca, rachunki odesłać do licha... Rycerski go zapal ogarniał, z chęcią dźwignąłby na sobie ciężką zbroicę po Kampenhauzenie pozostałą, kopią jego olbrzymią wywijałby jak piórkami. Niezwykły animusz tłumaczył sobie afektem, a uczuć takich doświadczał szczególnie w towarzystwie starszej stolnikówny, panny Kunegundy. Raz nawet, o zgrozo! dla niej o cały dzień spóźnił swój wyjazd. Ależ tak go wdzięcznie prosiła, aby został, aby z niemi ostatnie dni zapust przepędził! O ożenieniu wszakże myśl mu nie powstała w głowie. Któraż kobieta zechce oddać rękę człowiekowi skazanemu na wieczne tułactwo? Toż ledwie dwa miesiące przesiadywał Nowina w domu, a i przez te dwa miesiące ślęczał nad księgami, porządkował papiery, pisał sprawozdania, aby je w terminie złożył pryncypałowi. Wreszcie nie posiadał

żadnego tytułu, żadnego odznaczenia, a szlachcie bez honorowego urzędu nie znaczył wiele.

Ale widać, że się w czepku urodził pan Łukasz, bo kiedy tak smutno deliberował nad swoją przyszłością, gotując się do samotnego kawalerskiego żywota; naraz dochodzi go pismo od księcia, z następującem adresem: „JMé panu Łukaszowi Nowinie, wojskiemu grodzkiemu latyczowskiemu, lustratorowi dóbr moich koronnych, mnie wielce miłościwemu panu a bratu.“ Osłupiał na widok tej skryptury, wyraźnie ręką księcia nakreślonej. Ależ to omyłka być musi? On to wprawdzie jest Łukaszem Nowiną, on generalnym lustratorem, ale wojskim grodzkim latyczowskim, nigdy jako żywo nie był! Wahał się nawet, czy ma odpieczętować kopertę; odważył się nareszcie i w niej znalazł nominację, wraz z komplementem bardzo wdzięcznie ułożonym. Schował dokument na pamiątkę, aby dzieci, jeżeli je kiedy mieć będzie, wiedziały, jakiego to zacnego pana zesłało mu niebo.

Naturalnie, że odtąd podwoił gorliwość, jeżeli ją podwoić jeszcze był w stanie.

W tymże czasie został wojewoda generałem ziem podolskich, to jest starostą w dwóch gro-

dach Kamienieckim i Latyczowskim, przybyło więc do lustracyi dwa starostwa, które leżały wprawdzie w bliskiej okolicy, ale kłopot z ich uporządkowaniem był nie mały, bo dezolacye były wielkie, a sam książę dostrzegł ich podczas chwilowego na kresach pobytu, po niedługiej więc konferencyi z Nowiną, zagadnął go:

— Pracujesz mości wojski zapamiętałe, tak długo ciągnąć nie potrafisz, a byłoby mi ciężko bez twojej pocziwej rady. Znajdź więc sobie pomocnika, któryby ciebie wyręczyć potrafił, a stosowne wynagrodzenie ze skarbu pobierać będzie.

Taką drogą pan Tomasz Patkiewicz, od lat kilkunastu skromny skryptor w kancelaryi wojskiego, podniesiony został do tej wysokiej godności. A i to typ w swoim rodzaju dość rzadki. Sierota, wychowaniec międzybożskiego proboszcza zamiłowany w rachunkach, żelaznej wytrwałości, pokory zakonnej, poza pracą biurową nie zajmujący życia. Miał czas poznać go dobrze pan Łukasz; w wiecznie milczącym chłopaku dopatrzył i przywiązania do siebie i nieposzlakowanej pocziwości. Mógł na nim polegać zupełnie, odetchnął więc swobodniej.

Jeszcze jedną propozycję zrobił wojewoda swemu wiernemu słudze.

— Warto mości wojski, rzekł mu, pomyśleć o żeniaczce, bez białogłowy smutno na świecie, chyba mnichem chcesz zostać.

Jak alkermus spłonął Nowina, usłyszawszy tę niespodziewaną uwagę, przekraczając granice jego funkcyi lustratorskich.

Księżę to spostrzegł, uśmiechnął się i dodał nad wszelki wyraz dobrotliwie :

— Chwali się waści młodzieńczą wstydlivość, ale ze znalezienia się twego widzę, że już sobie coś nawiązałeś. Żeń że się — a chleba nam nie zabraknie.

Jakby na spełnienie rozkazów pańskich, Nowina po powrocie do Międzyboża pierwszego zaraz wieczora oświadczył się pannie stolnikówniej, a w miesiąc potem już ją poślubił. Naturalnie, że družbą był Patkiewicz, srodze zażenowany zaszczytem. Podczas skromnej uczty doręczono nowożeńcowi od księcia wojewody pakiet, który zawierał w sobie pokaźną sumkę 10.000 zł. dla państwa młodych, wraz z rozkazem do ekonomii miejscowej, aby odtąd wypłacała generalnemu lustratorowi podwójną pensję, a ordynaryę taką,

jakiej potrzebować będzie na przyzwoite opatrzenie familijnego domu...

Dostatek i spokój niezamącony zagościł pod strzechą Nowinów. Sam pan Łukasz słodkiego charakteru, szczęśliwym trafem dobrał sobie podobną małżonkę, i istne błogosławieństwo Boże roztoczyło swe skrzydła nad tymi cichymi ludźmi...

Ale o bezwarunkowe szczęście trudno na ziemi. Zsyłał Pan krzyżyki i na wojskich. Nie chowały się im dzieci, a biedna matka już trzy mogiłki na cmentarzu miejscowym stroiła w kwiaty i oblewała gorącymi łzami... Małżonek pocieszał jak mógł biedną żonę, ale i jemu ból serce ścisnął na myśl, że nie zostawi potomstwa...

Wkrótce zaszły rdzenne zmiany w administracji. Wojewowa cedował jedynemu synowi i generalstwo i majątki kresowe, z warunkiem, aby wypłacał ojcu 200.000 zł. rocznie. Jakoż wkrótce potem zjechał do Międzyboża książę Adam Kazimierz, dwudziestokilkoletni podówczas młodzieniec. Jakże był różnym od wojewody! Ojciec zimny, ważący niemal każde słowo, lgnący do cudzoziemszczyzny, otoczony bezlikiem dworzan przybłędów; syn słodki, uprzejmy, grzeczny

nad wyraz, pełen wesołości i niewyczerpanego dowcipu, który rozśmieszał i bawił, ale nie kosztem bliźniego. Młody — a już z całą drobiazgowością znał wszystkie stosunki familijne nie tylko okolicznej szlachty, nietylko oficyalistów, ale nawet ubogich herbowych osadników w obszer-nych dobrach.

Pan generał odwiedził najprzód wojskiego, stawił się u pani lustratorowej, jak sam powiadał, „z submisją“... I słyszałże kto coś podobnego?.. Niewątpliwym w przyszłości król polski, bo wszyscy uważali go podówczas za następcę po Augustie III., pod skromną szlachecką strzechą submitował się ubogiej kobiecie!... Galanterya nie widziana u ściany multańskiej! Z kolei książę generał odwiedził i Patkiewicza, który już oniemiał wobec „majestatu“. Niespodzianka biedaka czekała jeszcze większa, bo książę pan zaprosił go na urząd podskarbiego w dobrach podolskich i braclawskich. Nowina prawie łzami oblał rozstanie się z pomocnikiem, ale nie chciał go zatrzymywać, zwłaszcza, gdy nowy obowiązek był rodzajem awansu i to niezwykłego awansu!

Uroczysty wjazd księcia Adama do grodu kamienieckiego odbył się wczesną jesienią 1762 r.

Nowina wezwany do Wołczyna, aby tam „zapro-
 wadził porządki podolskie“, przyspieszył swój
 powrót, chcąc powiększyć poczet sług wiernych
 i przyjaciół nowego dygnitarza. Generał oczaro-
 wał wszystkich ziemian, uwielbienie dlań było
 powszechne, przyjęcie świetne. Obok Kaczkow-
 skich, Makowieckich, Stadnickich, Raciborowskich,
 Golejewskich, Starzyńskich, Markowskich, Mar-
 chockich, Leśniewiczów i wielu jeszcze innych
 posiadaczy i urzędników województwa, zasiedli
 oficjaliści pańscy, przypuszczeni nadto do obrad
 o potrzebach kraju, z gorącą prośbą, aby niezau-
 leżnie swoje objawiali zdanie. Generał głośno
 powtarzał, że panowie bracia, chociaż dopoma-
 gają mu w administrowaniu majątnościami, nie
 przestają na równi z nim być w kraju obywa-
 telami; uważałby więc za rzecz nieuczciwą ta-
 mować głos najuboższego szlachcica, bo głos ten
 zarówno waży na szali potrzeb Rzeczypospolitej,
 jak głos senatora...

Obecni przyklasnęli zdaniu wypowiedzianemu
 publicznie, i odtąd służy generała w opinii
 ogółu uchodzili za przyjaciół książęcego domu...
 I jak to dawniej pogodzić to wszystko umiano!

Wojskiego naprzykład, nie bacząc na to, że skromnym został oficyalistą, forytowano na posła, ale się wymówił od tej funkeyi... Nikt go o złodziejstwo nie posądził, broń Boże, o nadużycie nawet... A cóż mówić o samym dziedzicu, który wierzył bezwarunkowo swoim oficyalistom, umiał w nich szanować godność osobistą... To też i Szczęsny Potocki w podobny sposób postępując w komisarzach i podstarościach znalazł pomocników do Targowicy. Wszyscy miejscowi urzędnicy tej konfederacyi, w dwóch niemal kresowych województwach, to tulczyńscy gubernatorowie, plenipotenci, nawet skarbnicy... Złodziejami zaczęła oficyalistów późniejsza nazywać generacya, ta właśnie, co czerpała garścią pełną w ambasadorskiej szkatule; sami kradli, nie przypuszczali więc, żeby drobiazg szlachecki kraść nie miał przy nadarzonej zręczności...

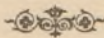
Nowy prąd powiał na kresach od chwili odwiedzin księcia Adama. Życie się rozbudziło inne, polityczne. Król był stary i schorowany, spodziewano się lada dzień *interregnum*, a z niem nowych trosk, kłopotów, zabiegów... Elektorów było tylu, ilu herbowych na obszarze kraju, każdy więc radził o jego przyszłej doli. I w Mię-

bożu, w gościnnym dworku lustratora, zbierali się często ziemianie, aby zaczerpnąć wiadomości o tem, co się dzieje na wielkim świecie, bo choć pan Łukasz nie wdawał się wcale w rzeczy po za atrybucyę jego lustratorską wykraczające, ale że go młody książę szczególni zaszczycał względami, więc w listach generała więcej było o rozmaitych zmianach i projektach „familii“ niżli o rachunkach. Choć i rachunki szły dawną koleją, a dziedzie uchylał głowę przed dwudziestokilkoletniem doświadczeniem lustratora, pamiętając dobrze słowa wojewody, kiedy go po raz pierwszy, po uczynionej cesyi wysłał na Podole:

— Słuchaj, proszę, wojskiego, bo to człowiek wypróbowany...

I słuchał młody książę rad pana Łukasza we wszystkim, co się odnosiło do administracyi, jak Nowina słuchał swego pana we wszystkim, co się tyczyło polityki. Mimowoli został gorliwym jego stronnikiem, zdanie generała stawało się jego zdaniem. Nie było to ślepe i bezwiedne narzędzie w ręku możnowładcy, ale obywatel, ufający bezwarunkowo doświadczonemu obywatelowi, gotowy zań rzucić się w ogień i w wodę... Panowie nasi mieli dziwny dar kaptowania przy-

jaciół, a księżę general dar ten posiadał do wysokiego posunięty stopnia. Reprezentował on olbrzymią siłę w kraju — i trzeba mu oddać sprawiedliwość, że nigdy jej nie nadużył gwoli ambicyi osobistej i egoistycznych zachcianek.



III.

Wybór stolnika litewskiego po zgonie Augusta przeraził kresowych ziemian niepomale, bo nie spodziewali się tego wcale. Pocieszało ich to przynajmniej, że książę-generał sam dobrowolnie wycofał się z szranków.

— Zrzekł się korony, powtarzał pan Łukasz interpelantom, widać, że tak wypadło z polityki.

Dziwna rzecz! Jeden Patkiewicz nie mógł się pojednać z tą myślą. Marzył on już wcześniej o splendorze, jaki nań spadnie po elekcji pana. Obojętny zwykle i apatyczny, teraz po kilka razy na dzień dowiadywał się, co listy lustratorowi przynosiły ze stolicy. Miał pan Tomasz zwyczaj w chwilach zamyślenia, kiedy już zamknął księgę kasową, bezwiednie kreślić rozmaite esy floresy

na kawałku szpargału, a słabostka ta została mu z dawnych czasów, kiedy kaligrafię uprawiał; otóż raz niepostrzegłszy tego, cały arkusz zapisał następującą sentencją: „Podskarbi dóbr ukrainnych Jego królewskiej Mości“... Uległa ona najrozmaitszym wariantom; wyraz „podskarbi“, to na początku, to na końcu frazesu występował. Spozrzegł się jednak w porę, zdrożne pisanie rzucił do ognia. Miałże prawo, on, drobny człek, uprzedzać wolny wybór narodu?... Ani się domyślał biedak, w jak krępujących powijakach spoczywała wówczas ta wolna wolna obywateli Rzeczypospolitej!

Bądź co bądź, dotkliwie uczuł wycofanie się generała, uważał je prawie za osobiste nieszczęście, tak że małżonka, zapomnieliśmy bowiem dodać, że się przed kilku laty ożenił, ledwie zdołała go uspokoić...

Pan Łukasz zaznał nowego szczęścia. Po owych trojgu niemowlętach, zmarłych przedwcześnie, dwoje dzieciak potem zrodzonych, chłopiec i dziewczyna, chowało się zdrowo i czerstwo... Snać wojska uprosiła to sobie u Boga; Jasia wpisała w habit, Marynię w kolor błękitny, a ojciec złożył z tego powodu bogate wota u stóp

Częstochowskiej Panienci. Staruszek ks. kanafarz z Winnicy, często odwiedzający po kweście hojny na ubogie dom pana Łukasza, głośno utrzymywał, że zadość uczyniło się i niebu i ludziom, pewnikiem więc jest, że z tego rozsadnika doczekają się rodzice pociechy... A że bogobojny był człowiek, więc wierzone mu chętnie...

Błogi, przeszło trzydziestokilkoletni pokój w prowincjach kresowych przerwała Barska konfederacja. O miedzę prawie od Międzyboża zatknęła ona swój sztandar protestacyjny! Jak się względem niej zachować, jak postąpić ze sporym zapasem grosza w kasach skarbowych nagromadzonego? Niepewność wkrótce rozstrzygniętą została. Pieniądze polecił księżę przywieść do Warszawy. Patkiewicz, który je eskortował, opowiadał po powrocie ze stolicy, że była rada u króla i że na radzie tej księżę wojewoda ruski doradzał Stanisławowi Augustowi użyć wojska dla poskromienia buntowników.

Tego było dosyć, aby starzy słudzy domu Czartoryskich uważali związkowych jako prostych rebelizantów, wichrzycieli publicznych i coś więcej jeszcze...

A ci jak na toż pod samym usiedli nosem i głośno powtarzali, że zagarną Międzyboż i ufortyfikują go należycie. Pan Łukasz kozaków granowskich sprowadził dla zabezpieczenia się od napaści; wkrótce atoli królewskie zastępy przy pomocy sąsiadów zdobyły Barską warownię, rycerze Maryi poszli na wygnanie, co nawet pewną radość sprawiło wojskiemu; naturalnie, że i dawny pomocnik mu wtórował, ksiądz proboszcz tylko bronił zwyciężonych i pobitych... Nic to wszakże nie pomogło, fanatyzm polityczny ma wiele podobieństwa do religijnego... Zdarzyło się, że jeden, drugi sąsiad, przyjaciel osobisty pana Łukasza, zaciągnął się do związku, utyskiwali wówczas nad jego „zdradą“.

— Ktoby się tego był po nim spodziewał, powtarzali obaj słudzy książęcy, smutnie kiwając głowami, a słuszny był człowiek, statysta, zdrowo na rzeczy patrzący.

I rozchodzili się pod natłokiem ponurych myśli i wróżb okropnych dla przyszłej pomyślności Rzeczypospolitej.

Wypadek jednak zrządził, że p. Łukasz zmuszony był zmienić swe o związku przekonanie,

i to tak niespodziewanie, tak nagle, że wszystkich zadziwił niepomału.

A działo się to w roku 1769. Konfederaci barscy do Turcyi wypchnięci, wrócili znowu do kraju i usadowili się nawet w forteczkach pogranicznych nad Dniestrem, wkrótce atoli opuścić je musieli wobec przeważnych sił aljanckich, które już teraz jawnie działały przeciw konfederatom. Szczególnie zręczne wycofanie się Kazimierza Pułaskiego z Okopów św. Trójcy, odziane jakby szatą cudowności, rozbrzmiało szeroko po kraju... Sam nieprzyjaciel zdumiony był szaloną walecznością oblężonych, a cóż mówić o ziemianach?... Ci zawsze, nawet w przeciwnikach cenić męstwo umieli. Lud w tem „nieczystą“ upatrywał sprawę...

Nowina nie wierzył wieściom, a że mu wypadło w tym czasie być w Dłużku i zlustrować dezolacye, jakim uległo starostwo, przybywszy więc pod Kamieniec, postanowił zasięgnąć języka, choćby w miejscowości, która do niedawna była teatrem wojny.

Na drugi dzień odwiedził go przeor Karmelitów, ojciec Serafin, mąż uczony, doktor św. teologii, szczerze oddany domowi Czartoryskich.

Miał on interes do wojskiego, na gruntach bowiem starostwa leżał futor do zakonników należący.

Powszechnie utrzymywano, że podjazdy konfederackie zapadały aż tu z pod Zwańca, że braciszek klasztorny, gospodarz na tym kawałku ziemi, podejmował ich gościnnie, i że ułatwiał im stosunki ze związkowymi w Kamieńcu.

— Prawdaż to? pytał Nowina mnicha, kiedy w izbie sami zostali.

Przeor oglądnał się w około i odpowiedział:

— Przed tobą mości wojski, jako człowiekiem uczciwym taić nie będę, że wszystko coś słyszał, jest najświętszą prawdą.

— Jakto? I braciszka trzymacie dotąd na futorze, nie skazaliście go na rekolekcyę?

— Nietylko nie mam mu tego za złe, owszem pochwalam krok ten szlachetny i roztropny...

— Co ja słyszę? zawołał obruszony wojski.

— Nie kończ, kochany panie Łukasz, bobyś bluźnił przed Bogiem... Jesteś chrześcijaninem a to sprawa święta, za wiarę... rozumiesz?... szeptał mnich, a oczy mu błyszczały i na twarz okrytą ascetyczną bladością wystąpił szkarłatny

rumieniec. Sprawa święta, powtarzam, a jej rycerze doznali już cudu...

Wojski zamilkł, ale postanowił udać się do Okopów, aby fakt sprawdzić na miejscu.

W spalonym Zwańcu odszukał znajomego, osiadłego tutaj na gracyi podstarościego, ten mu się ofiarował za przewodnika.

Forteczka, która była w niedawnym posiadaniu Pułaskiego, leżała w gruzach, miasteczko zniszczone. Nowina opatrzył pilnie pozycję. W kącie utworzonym przez dwie łączące się z sobą rzeki, rozścielała się niewielka płaszczyna, zamknięta fortyfikacyami i wałami. Rozentuzjowany podstaroście zatrzymał się na niej i zawołał:

— Ten kawał ziemi znajdował się w posiadaniu konfederatów, była w ich rękach także warownia, a za warownią stały półkolem w ścieśnionym szeregu wojska oblegających. Mieli oni i armaty, inaczej nicby złego naszym zrobić nie potrafili. Nieprzyjaciel zdobył mury, wszedł do nich z tryumfem i nie znalazł tam ani jednego żywego człowieka, tylko kilkanaście trupów... Więc uszli, ale w tem sęk, którądy?

Wojski oglądnął się w koło i odparł:

— Naturalnie, że z wałów dostali się na płaszczyznę, na której oto z waszmością stoimy, stąd zaś spuścili się do rzeki.

— Ale jak się spuścili? Może zlustруем okolice?

I wolnym krokiem zbliżyli się do krawędzi kąta, utworzonego przez Zbrucz i Dniestr. Brzegi wszędzie były strome, gładkie, prostopadłe, jak ściana, w kotlinach zaś szumiały wody, tocząc z szalonym pędem spienione fale.

Nowina zdumiony patrzył i oczom nie wierzył.

— Odszukajcież, proszę, mości wojski, najdogodniejsze miejsce dla spuszczenia się na dół po tych urwiskach skalistych, odezwał się z pewną wyzywającą ironią stary przewodnik...

Pan Łukasz chodził kilka godzin, i nie mógł rozwiązać zagadki. Zdawało mu się, że tu, to znowu w innem miejscu, ale robił kilka kroków i cofał się wylękły, widząc przepaść pod nogami, a na dnie tej przepaści kłębiące się płowe fale...

— A proszę pamiętać, ciągnął dalej zapalając się stary podstarość, że działa, się to

w noc ciemną z 8. na 9. marca, że oddział liczył przeszło 200 ludzi, że każdy oficer, każdy żołnierz konia za sobą prowadził, że był w rynsztunku bojowym, a ziemia na płaszczyźnie rozgrzęła, brzeg ślizki, na dole zaś wezbrane wody wypełniły koryto do samego wierzchu, unosząc kry olbrzymie, jak lekkie kamyki, ku morzu...

— Nie, nie, ty być nie może, żeby tędy wycofać się mieli! mówił Nowina.

— Nie... nie... A ja powiadam — z pewnem już zniecierpliwieniem wował przewodnik — że tak było! Tysiące ludzi postawię na świadków, samego nieprzyjaciela... Toż nazajutrz dowódzca rosyjski generał Izmaïłow opatrywał miejscowość, kiedy sześć armatek znalezionych w Okopach z jego rozkazu rzucono do wody... Zwaniec był w ogniu, podpułkownik Czernyszów wyparował stamtąd Franciszka Pułaskiego, inny oddział rosowski stał nad rzeką, jeszcze inny o sile tysiąca ludzi tutaj dokazywał, trzeba się było wycofać, inaczej sroga czekała niewola... więc się wycofali z honorem.. Powtarzam wam, mości wojski, że sam Izmaïłow dziwił się odwadze, zwywał swoich na ochotnika, aby się do koryta rzeki spuścili. Porwał się jeden Doniec — a to dzielni

jeźdźcy... spróbował i wrócił z pół drogi, nieustannie powtarzając: *Czorty Lachy!*... Nie wieżycie? Wiedziałem ja, że ludzie dzisiejsi nie uwierzą temu, a cóż dopiero za lat sto, więc uprosiłem księdza proboszcza, aby spisana przezemnie relacyę przechował ku pamięci potomnych...

Rzeczpospolita ubożała... Kronikarskie pióro brał z musu ubogi podstarość kresowy, człowiek prosty, z „karbownicą“ więcej niżli z inkaustem oswojony; ale mu to obowiązek nakazywał; przeczuwał snąć, że to będzie jedyna dla wnuków spuścizna.

Wojski milczał, walka w nim wrzała wewnętrzna.

Gracyalista niepowściągniony prowadził rzecz dalej:

— Spalili mi chatę, ale nie żałuję, choć bez dachu zostałem... Stary jestem, nogi mi nie służą. Oj gdyby lat mniej, a sił więcej, przystałbym do konfederatów!

— Jakto, do rebelizantów? — zaprotestował jakby z przyzwyczajenia, jakby z nałogu sługa Czartoryskich.

— A choćby do rebelizantów! Jak mnie widzicie, dobra bo to krew. Za lichą sprawę pewnie by karku na złamanie nie narażali.

I starzec połą kapoty ocierał oczy, bo mu łzą zaszczyły zrenice. Nowina milczał — i jemu niezwykły gość zwilżył powieki.

To był pierwszy wyłom w warowni, osłaniającej jego przekonania. Drugi, daleko dosadniejszy, nastąpił w kilka tygodni.

Właśnie powrócił z wyżej opisanej wycieczki do Międzyboża, ale z wrażeń swoich nie zwierzył się nawet przed żoną. Czekał już na niego posłaniec z Brzeżan z listem generała ziem podolskich. Uwiadamiał w nim księżę, że jest w Wiedniu, że na krótko do Warszawy wpadnie, aby odwiedzić niedomagającą małżonkę, a Nowinę oblige, aby ściągnął z kas ukraińskich 300.000 zł. i stawił się z niemi w Sieniawie, na 15. maja nieodzownie, gdyż sprawa jest terminowa, a po przybyciu na miejsce otrzyma dalsze instrukcje. Z Międzyboża wszakże nie ma się ruszać, póki mu z Warszawy nie przyszlą karty bezpieczeństwa, podpisanej przez rosyjskiego ambasadora.

Wzmiankowany dokument doszedł rąk wojskiego dopiero w pierwszych dniach maja, a że wszystko było gotowę, nasz pan Nowina po szczerej modlitwie, pełen otuchy w daleką wyruszył drogę.



IV.

Jechał zbrojno, jak przystoi człowiekowi, wiozącemu tak spore pieniądze. Mocny, dobrze okuty karabon dźwigał kasę; worki ze złotem i srebrem na dnie jego dla niepoznaki okryto tłumokami z pościelą, a wszystko opięto fartuchami od słoty; z pod fartuchów sterczały spisy kozackie i żerdź z fajerką kagańcową. Woźnica, chłop rosły, do koła wozu czterech konnych młojców granowskich, ludzi bywałych i wypróbowanego do domu Czartoryskich przywiązania. Na bryce tuż w tyle jadącej, ulokował się sam wojski z wyrostkiem, którego w podróży do usług używał.

Wyjechali w piękny dzień majowy. Wędrówka była pełna drobnych przygód. Wszędzie widzieli dużo ruiny, popalone miasteczka, skąpe

na polach posiewy, karczmy pustką stojące. Ludzie przyczynę dezolacji zwalali to na Rosyan, to na królewszczan, to na konfederatów. Kto był winniejszy? Nasz oficyalista nie rozstrzygał, nie starał się nawet o to, szło mu tylko o jedno, aby uniknąć rabunku.

Po chwilowym odpoczynku w Mikołajowie, dążył do Zbaraża, a stąd zostawiając na prawo trakt lwowski, skręcił w bok do Brzeżan. Klucz brzeżański zostawał od dawna w posiadaniu księżnej Elżbiety Lubomirskiej, marszałkowej koronnej, zamek atoli trzymał pan wojewoda, jej ojciec na sobie. Otóż w miasteczku zastał wojski strach wielki po świeżych konfederackich odwiedzinach. Związkowi ściągnęli załogę, zabrali artyleryę, amunicyę i grosza niemało. Młody zastępca Franciszka Pułaskiego, dokazującego w tej stronie, powiedział miejscowemu gubernatorowi, że czyni to z rozkazu wyższego, a czyni na tej zasadzie, że księżę wojewoda jest przeciwny związkowi, i wcale nie po obywatelsku głosował na radzie za jego przytłumieniem siłą choćby cudzoziemskiego oręża. Wprawdzie przed rokiem zabierał w okolicy komendy dworskie p. Joachim Potocki, nim w Podhajcach prze-

grał batalię, ale ten szlachetniej postępował, nie dotykał bowiem ani kas, ani remanentu, podczas kiedy terażniejsi goście konfederacyi istną ruinę zostawili w zamku.

Nowina zawahał się, czy ma dalej jechać, tembardziej, że chodziły posłuchy o zawiązaniu nowej w Przemyśle konfederacyi, o zamiarach malkontentów ubieżenia Lwowa, a właśnie udając się do Sieniawy, musiał tę drogę przebywać... Ale obowiązek przede wszystkim; termin się zbliżał, a miałże po tylu latach służby sumiennej nie wykonać rozkazu i to z obawy niebezpieczeństwa? Jeszczeby go o tchórzostwo pomówiono! Wojski, choć więcej miał z piórem niż z szablą do czynienia, jako szlachcic dziwnie był drażliwym na opinię współziemian o osobistej odwadze.

Ze zrujnowanych tedy Brzeżan skierował się ku północo-wschodowi, przebył szlak przez związkowych zajęty bez przeszkody między Gródkiem a Sądową Wisznią i dociągnął szczęśliwie do Krakowca. Już do kresu podróży było niedaleko: Nowina więc pełen otuchy, rażno kazał pospieszać. Otóż i Dobrze, a stąd do Sieniawy wcale blisko. Dzień był skwarny, słońce do-

grzewało, więc z pewną radością ujrzał nasz lustrator przed sobą lasek, przez który trakt prowadził. Wjechali w gęstwinę, podróżny z rozkoszą zdjął czapkę i jął czoło ocierać.

Nagle szmer jakiś niewyraźny obił się o jego uszy. Dalej ozwał się tentent i łomot w krzakach rosnących po bokach drożyny... Lustrator zaczął pilnie nasłuchiwać, i naraz ujrzał kilkudziesięciu ludzi, jakby z pod ziemi wyrastających, z przodu, z tyłu i z boku, nieznani jeźdźcy i piesi, a wszystko uzbrojone od głowy do stóp, z miną gęstą i marszem na czole...

— Stój, stój — zawołano zewsząd.

Woznica powożący na karabonie jakoś nie usłuchał, zaciął konie, ale w tej chwili dostał pałaszem po grzbiecie. Kozacy dworscy rzucili się do pistoletów.

— Nie strzelać! zagrzemiał głos z przodu, bo rozsiekamy!

W tej chwili wysunął się z tłumu piękny młodzieniec, z gładką twarzą i czarnym, do góry podkręconym wąsikiem. W kurtce suto szamrowanej wyglądał tak świetnie, jakby się na bal a nie na zasadzkę wybierał. Przyskoczył do pana Nowiny, który przerażony nagłym napadem, nie-

przytomny prawie, w jednej ręce trzymał czapkę, a w drugiej chustkę kraciastą...

— Wszak pan Nowina, wojski latyczowski? spytał grzecznie młodzieniec, uchylając kołpaczka z czaplem piórem.

Lustrator odpowiedział niemem skinieniem głowy.

— Czy całą sumę macie przy sobie?

Stary sługa domu Czartoryskich zdrętwiał z przerażenia.

— Przecież wieziesz waszmość 300.000 zł. z majątności ukraińnych księcia generała ziem podolskich?

— Tak... — wyjąknął Nowina machinalnie.

— Więc wieziesz je waszmość dla nas!

— To może acan jesteś podskar bim księcia wojewody, zawołał wojski, odzyskując powoli kontynans. W głowie mu błysła myśl, że młodzik mistyfikuje go, aby nastraszyć... Byłby to żart niewczesny. Nowina zabierał się już do wystąpienia z admonicją, kiedy jeździec uśmiechając się, odpowiedział:

— Podskar bim jestem, ale przy marszałku konfederacyi przemyskiej, do którego udamy się natychmiast.

Tymczasem reszta zbrojnych otoczyła karabon. Młody konfederat zakomenderował, cała kalwakata rzuciła się w bok wąską, mało utartą drożyną, zbaczając z głównego szlaku.

Pan Łukasz oniemiał, a furman jego nie odbierając żadnych zleceń, instynktowo podążył za wozem, na którym złożone były skarby.

— Więc to rebellizanci!... myślał zrozpaczony lustrator — w puszcę ciągną, zrabują niechybnie.

I załamał ręce z rozpacz!... Tyle lat bez skazy spędzonych stanęło przed nim, rok po roku jakby nizał w pamięci. Nigdy zawodu nie uczynił swemu chlebodawcy, aż oto teraz z własnej winy i nieoględności na taką naraża go stratę... Nie czuł, jak gałęzie leszczyny rozrośniętej przy drodze biły go po twarzy, jak bryczka skacząc po pieńkach niemiłosiernie nim rzucała... Wszystkie władze umysłowe wyteżył na wyszukanie sposobu uratowania kasy; lica mu gorzały, oczy krwią zabiegły, białe włosy w nieładzie spadały na czoło... projekta najrozmaitsze powstawały pod czaszką.

Tabor włókł się powoli; żołnierze należący do zasadzki, gwarzyli wesoło, starając się rozru-

szać kozaków granowskich, którzy otoczeni eskortą ze zwieszonemi jechali głowami... Słońce świeciło pięknie, majowo; leśne ptactwo wdzięczyło się szczebiotaniem, jakby nie zważając na ludzi.

Po przeszło godzinnej podróży stanęli wreszcie na polance zewsząd otoczonej puszczą. Ze stu jeźdźców rozłożonych biwakiem czekało tu na nich. Mięszanina to była strojów i uzbrojenia, a i konie różnomastki pasły się poprzypinane na prędcę do lanc w ziemię wetkniętych, do drzew, do krzaków. Gwar panował wielki w zaimprovizowanym obozie; warty z bronią w ręku zewsząd go otaczały.

— Gdzie dowódzca? — spytał żołnierza na placówce przybyły z zasadzki oficer.

— Nim zapytany mógł odpowiedzieć, z za łańcucha czat wysunął się nasamprzód młody mężczyzna, ledwie lat 20 liczący, miernego wzrostu, szczupły, zgrabny jak panienka, a z wielką fantazją ubrany...

Eskortujący pana Łukasza kawaler oddał nieznajomemu honory wojskowe jako starszemu i w kilku słowach zdał raport z wyprawy. Musiał tam być dodatek i o lustratorze, bo naczelnik

obozu zbliżył się do niego i serdecznie pozdrowił.

— Rozgość się u nas mości wojski, nie długo was trzymać będziemy! rzekł głosem łagodnym. Zjemy śniadanie, a potem będzie czas uczynić zadość formalnościom.

Jak automat zsunął się z bryczki pan Łukasz, a gdy stanął na ziemi, nogi pod nim drżały i nie mógł się prawie na nich utrzymać.

— Widzę, że waszmość zmęczony, odezwał się wódz, podając mu ramię, proszę za mną. Pod dachem wprawdzie byłoby wygodniej, ale my dachu nie zdobyliśmy sobie jeszcze.

I powiódłszy za sobą Nowinę, rozlokował go w cieniu dębu rozłożystego. Lustrator wymówił się od traktamentu, i spozierał w milczeniu w około siebie. Kilku młodzików stanowiło całe towarzystwo dowódcy, wszyscy bez wąsa, ale poważni i marsowi. Lustrator nie spuszczał wszakże z oczu karabonu, i o zgrozo! dostrzegł jak ów panicz, który się podskarbin mianował, przystąpił do wozu, jak wyjmowano zeń worki ze złotem, jak kilka z nich rozwiązał i liczył, chcąc się widocznie przekonać, ażali zawartość odpowiadała cyfrze wypisanej na płótnie.

W pół godziny robota była ukończona. Pieńdże zabrali żołnierze, i pod silną eskortą zniknęli w głębi lasu. Dowódzca konfederatów tymczasem pilnie się przypatrywał starcowi. Dostrzegł smutku na jego twarzy, i takiej rozpacz, że pociecha na nicby się nie zdała. Milczał tedy, szanując zgryzotę biednego oficjalisty.

W chwilę potem wrócił konfederat podskarbi z zapisanym papierem.

— Oto ceduła, mości wojski, doręczycie ją ks. generałowi, na dowód, żeśmy całą otrzymali sumę.

Nowina przypadł do nóg dowódcy.

— Nie znęcaj się nademną panie, uszanuj włos mój siwy, wróc mi własność — nie moją... Wszak ja jej stróżem jestem tylko... Całe życie pracując, ledwie zebrałem szóstą część tej sumy, zabierzcie ją sobie. Ubogi będę, ale bez zarzutu zostanę!...

I płakał głośno jak dziecko.

Franciszek Pułaski, bo to on był naczelnikiem oddziału, podniósł lustratora, i zaczął go uspokajać.

— Przestańże Waćpan! Zaręczam, że książę generał mieć do was żalu za ten rabunek nie

będzie, zaręczam, więcej mi mówić nie wolno. Jedźcie z Bogiem, a dokument zachowajcie, bo ma nie małe znaczenie.

Na pół prawie przytomnego ze zgryzoty wsadzono Nowinę do bryczki, i kawalkata znowu po tej samej ruszyła drożynie.

Wkrótce stanęli w Sieniawie. Pan Łukasz był w gorączce. Przestрах jego zwiększył się jeszcze, kiedy gubernator miejscowy okazał zdziwienie, utrzymując, że nie słyszał wcale, aby w okolicy znajdować się mieli konfederaci. Biedny wojski usłyszawszy to, do reszty stracił otuchę.

Cały tydzień ciężko przechorował; we śnie i na jawie jak zmora prześladowała go scena w lesie. Powoli jednak przychodził do siebie, a jednocześnie nadeszły awizy ze stolicy, że księżę generał tam się znajduje i niecierpliwie czeka lustratora. Jak tu stanąć przed pańskim obliczem z cedułą rabusiów zamiast pieniędzy?

Ale należało do dna wychylić kielich goryczy... Podróż do Warszawy była dlań męką prawdziwą. Siedzący przed nim woźnica z obwiązaną głową, przypominał lustratorowi tak ciągle

nieszczęsną przygodę, że nie mogąc nań patrzeć, oczy zamykał i w myśli odmawiał wszystkie modlitwy, jakich się w ciągu długiego nauczył żywota.

Stanąwszy w stolicy, nie miał odwagi udać się prosto do błękitnego pałacu, wolał raczej w zajeździe przenocować. Dopiero na drugi dzień rano, westchnąwszy szczerze do Boga, stawił się w izbie marszałka, starego swego znajomego, a nawet przyjaciela.

Dygnitarz ten aż się cofnął, ujrzawszy przed sobą Nowinę.

— Upior z tamtego świata — zawołał — a nie żywy człowiek, jak mego Boga kocham, prawdę mówię! Czy ci się czasem nie dali we znaki konfederaci?

— Albo już wiecie?... szepnął Nowina.

— Nic nie wiemy, odparł jowialny marszałek, ale powiem ci bracie, że się tu dziwne rzeczy dzieją! — dała ciszej, książę wojewoda pioruny na nich ciska, a ks. generał broni przed rodzicem rebelizantów.

— Waści się to nie przysłyszało? zawołał pan Łukasz?

— Ale gdzie się przysłyszało? Oto Radzi-
miński, który jest przy wielbłądach, i oplakuje
zgon każdej bestyi dwugarbnej, jakby zgon wła-
snego dziecka, otóż on raz w przytomności mło-
dego pana nazwał konfederatów buntownikami,
miałże się z pyszna za to? Wbrew zwyczajowi
tak go ksiązę ofuknął, że aż wszyscy straciliśmy
kontynans.

Nowina niemało był zdziwiony tym szczegó-
łem. Same niespodzianki spotykały go w tej nie-
szczęsnej podróży.

W pół godziny znajdował się w kancelaryi
swego chlebowodawcy. Po uprzejmem a nawet
serdecznem powitaniu, ksiązę zamknął drzwi
i zbliżył się do wojskiego.

— Winowajcą jestem jasnie wielmożny panie!
zawołał biedny Nowina, chyląc się do kolan
generała.

— Ciszej, mój przyjacielu... rzekł ksiązę
łagodnie. To ja cię powinienem przeprosić, żem
naraził waszmość na tyle kłopotów.

— Moja nieogłędność... zaczął znowu Nowina.

— Nieogłędność wcale nie miała miejsca.

— Ależ ksiązę panie! Utraciłem wszystkie
pieniądze, zamiast 300.000 zł., przywożę tę oto

cedułę, wyszeptał z wysiłkiem biedny oficyalista, wyjmując z zanadru pokwitowanie dane mu przez Franciszka Pułaskiego.

I westchnął ciężko, chyląc głowę z pokorą.

Spodziewał się gorzkich wymówek, czekał wyroku. Jakież było jego zdziwienie, jaka radość niepojęta, gdy zamiast gniewu następujące usłyszał wyrazy:

— Wiem o wszystkim! Stało się jak się stać było powinno.

Piorun z jasnego spadający nieba nie zrobiłby był na wojskim silniejszego wrażenia, jak ta sentencya z pewnym przyciskiem wypowiedziana przez ks. generała. Wyraźnie, dobitnie rzucał książę słowo po słowie, jakby pragnąc, aby słuchacz sam reszty się domyślał.

Lustrator miał oczy szeroko rozwarte, jak człowiek nagle niespodziewanym olśniony blaskiem. Dzwoniły mu ciągle w uszach zapewnienia marszałka przemyskiej konfederacyi, że książę generał nie będzie miał do niego żalu za zarobowane niby pieniądze...

Otóż prawdę mówił konfederat. Musiał coś wiedzieć, było porozumienie chyba. Ale co to za

tajemnica, jakie porozumienie? Tego nawet domyślić się nie śmiał...

Książę tymczasem przechodził się po pokoju, pilnie obserwując wiernego sługę.

— Wszak do grodu o napadzie nie zaniósłeś manifestu, kochany wojski?

— Nie.

— Bardzo dobrze. I z Sieniawy nie puszczono się w pogoń za nimi?

— Nie.

— Hałas wielkiego nie robiliście w okolicy?

— Żadnego. Kozaków odesłałem do Granowa, został przy mnie tylko woźnica i wyrostek.

— Bardzo się cieszę z tego, wyświadczyłeś mi prawdziwie obywatelską usługę. A jeżeliś zaznał przykrości, to pamiętaj panie Łukasz, że służyysz nietylko domowi naszemu, ale i Rzeczypospolitej, dla której miłości nie jeden w tej chwili ciężkie dźwiga krzyżyki...

Długo jeszcze rozmawiali ze sobą, a książę pytał o szczegóły. Lustrator z właściwą sobie skrupulatną drobiazgowością opisywał dezolację w Brzeżanach, spotkanie swoje z konfederatami pod Sieniawą, wycieczkę do Okopów św. Trójcy...

Generał miał łzy w oku, i on szeptał, jak ów stary podstarości żwaniński...

— Dobra krew, dobra krew!

Ludzie stojący u dwóch biegunów społecznych jednakowo zapatrywali się na czyny garstki rycerskiej acz nieszczęśliwej.

Po chwili otrząsnął się książę z chwilowego wzruszenia; hołdownik, może przymusowy, polityki domu, winien był zachować obojętność i zimną krew, jaka przystoi statystom.

— Rozgość się, odpocznij trochę, rzekł, żegnając oficjalistę, a księciu wojewodzie, bo cię pewno widzieć zechce, ani słowa o tem! Nikomu, nikomu!

Nowina wyniósł się z kancelaryi pańskiej z rozpromienionem obliczem, a marszałek, który go spotkał w antykamerze, zawołał:

— Metamorfozy same, jak widzę! Szedłeś waćpan jak na ścięcie, a wracasz jak tryumfator po dwugodzinnej z księciem rozmowie. Czy cię larendogrą jaką cudowną potraktował?

Na wyjezdnem stawił się Nowina po instrukcye. Generał udarował go sygnetem na pamiątkę przygód niezwykłych, dla wojskiej dał sztukę pięknej materyi, a i o dzieciach nie zapomniał;

Jasiowi pięknej sajety na habit, a Maryni cały stos błękitnych gałganków; dobry pan bowiem wiedział dobrze, że w ten kolor wpisali ją rodzice.

— A proszę o wieści z za Dniestru, o panu Joachimie Potockim, dodał na pożegnanie.

Z powrotem Nowiny niezwykła radość zagościła w dworku międzybożskim. Wiedziano tam już o przygodzie sieniawskiej i wielce się nią zaniepokojono, więc witano lustratora, jakby wracał z tamtego świata. Pocziwej wojskiej szło tylko o to, czy zdrów, gdy więc stawił się przed nią wesoły a rześki, o policzkach rumianych, o nic nie pytała już więcej. Zato Patkiewicz i proboszcz różnemi uczuciami miotani, dążyli w gościnne lustratora progi, pierwszy z surowością purytanina, z nieubłaganym wyrokiem dla winowajców, którzy porwali pieniądze tak skrupulatnie przez niego odrachowane; drugi tłómacząc racją wojenną ten krok związkowych, choć ubolewał nad tem, że rabunek w opinii ludzkiej gotów przynieść uszczerbek dobrej i rycerskiej sprawie.

Domyśli się czytelnik, jakie było zdumienie obu przyjaciół, gdy wojski inaczej rzecz im przed-

stawił. Po długiej a żwawej rozmowie, ks. Topolski zakonkludował:

— Dzięki niechże będą Wszechmogącemu Panu! Kamień mi spadł z piersi! Stało się bowiem i przezornie i rozumnie i politycznie! Wszystkim warunkom uczyniło się zadość... I ks. wojewoda i ks. ambasador nie dowiedzą się o niczem. A jak się dowiedzą? no i cóż? Napadli, zrabowali. Tak, tak! zapalając się coraz mocniej wołał staruszek, przecie pan wojewoda kijowski i jego krewniaczka pani kasztelanowa Kamińska, kusili się zrobić coś podobnego. Pierwszemu niby to milicyę zabrali konfederaci przemocą, druga posłała im 200.000 zł. w sekrecie... Ale i o tem i o tamtem dowiedzieli się ludzie, a tu szę... jeden tylko Bóg w niebie zna prawdziwe intencye, a na ziemi, wobec prawa, niech to sobie będzie i rabunek,¹ zwykły napad na drodze...

Kilka butelek węgryzna wysączyła trójka przyjaciół na intencyę malkontentów, i późna już noc była, gdy pomyślano o powrocie do domu.

Podskarbi odprowadził proboszcza na plebanię, a ten żegnając się szepnął mu do ucha z uśmiechem:

— A co, mówiłem zawsze waści, że to nie buntownicy, nie rebelizanci, ale rycerze, i to najlepszej sprawy rycerze...

— Tak, tak, zawtórował Patkiewicz, całując go w ramię. Ktoby się tego spodziewał!



V.

Upłynęło lat kilkanaście od opisanych wypadków. W kółku naszych znajomych zaszły zmiany niemałe; obaj starzy oficjaliści zostali wdowcami, a i proboszcz miejscowy przeniósł się na cmentarz. W r. 1780 pan lustrator Nowina zapragnął odpoczynku, który mu się słusznie należał po czterdziestoletniej służbie; a za jego przykładem poszedł i Patkiewicz, choć młodszy, stracił on wzrok, ślęcząc nad cyframi, które zawsze miały dla niego powab niemały, i w których rozczytywał się, jak w najciekawszej księdze... Dodawał, odejmował, mnożył, dzielił; słowem, sam sobie zadawał najprzeróżniejsze łamigłówki, a potem je rozstrzygał. Po zgonie żony jedyną przykrością, jakiej doznawał, było to, że syn jego Kalasanty, dwudziestoletni, zresztą bardzo ucziwy

i przykładny młodzieniec, „nie aplikował się w rachunkowości“, a więcej miał pociągu do rolnego gospodarstwa.

Książę generał dowiedziawszy się o zamiarach Nowiny i Patkiewicza, zasmucił się, że go opuszczają, a nagradzając ich długoletnią i pocziwą służbę, ofiarował obudwu dawną pensję, a dworki, w których mieszkali, darował na własność.

Patkiewicz po 37 latach podskarbiostwa, zdając kasę swojemu następcy, wykazał, że w ciągu tego czasu przeszło przez jego ręce nie mniej jak 36 milionów złotych i to tylko z trzech kłuczków podolskich, t. j. tak zwanej Międzyboszczyzny, bo inne sumy, z Granowa i Kowla, składane w depozycie, reprezentowały cyfrę 20 milionów. Sam wszystkie rachował, na swoją przyjmował odpowiedzialność — i nigdy ani grosza nie było deficytu... *Osuszka* dla niego nie egzystowała. Może nie zrozumiecie dzisiaj znaczenia tego wyrazu; *osuszką* nazywała się suma, którą kasyer mógł zużytkować dla wypełnienia rozmaitych braków wynikłych z omyłki przy wypłatach, o co nie trudno, zważywszy, że wypłaty częstokroć bywały drobne. Zwyczaj *osuszek* utrzy-

mywał się dość długo, a w dobrach podolskich hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego przetrwał do połowy niniejszego stulecia. Otóż Patkiewicz nie potrzebował się uciekać do tego rodzaju fortelu. Nowy podskarbi przyjmujący kasę, kiedy pod pozycją zatytułowaną *osuszki* zobaczył wielkie zero i to w ciągu lat 37 zdziwił się niepomąłu.

— Toście chyba, zawołał, własnym groszem wypełniali braki?

— Ani razu w życiu, odpowiedział pan Tomasz, a tyle spokoju i prawdy malowało się w jego oczach, że nie godziło się nawet wyrażać wątpliwości.

Gdy doniesiono o tem wszystkim księciu generałowi, kazał natychmiast wygotować pismo, w którem wyliczone były wszystkie Patkiewicza zasługi, a w rzędzie innych i ta, że z prawa uciekania się do *osuszki* nie korzystał. Dokument zamykały wyrazy wdzięczności, których dowodem była dożywotnia pensya i darowizna dworku z attynencyami, t. j. z ogrodem o kilku morgach ziemi. Pan Tomasz kazał pismo to w piękne ramki oprawić i zawiesił w swojej sypialni pod portretem ks. generała. Sypialnia ta zarazem była jego kancelaryą. Skromne, zakonne, twarde

łóżko w kąciuku, nad niem wizerunek Matki Częstochowskiej, ubrany w gromnicę już nadpaloną, którą trzymała w stygnącej dłoni poczciwa małżonka, po bokach pęk palm, piękną choć wypłowiałą uwiązanych wstęgą, zwykle w kwietną niedzielę ofiarowanych przez kościół; pod obrazem stara szabla, ojcowska spuścizna, figurantka tylko honorowa, bo jej nigdy w ciągu długiego życia z pochwy nawet nie wyjął właściciel, przy kominku dziadowskie krzesło, a pod oknem prosty stół dębowy. Tak wyglądał przybytek starego gracyalisty generała ziem podolskich. Resztę mieszkania oddał pod zarząd klucznicy i syna, który je z pewnym gustem przystroił.

Dworek Patkiewicza stał nieopodal od domostwa wojskiego, a to się już świetniej prezentowało. Było większe, posiadało cienisty ogród, a i umeblowanie jego zdradzało pewną zamożność. I tu sypialnia z kancelaryą mieściła się w jednej obszernej izbie, ale wygodne mahoniowe łożo okrywała skóra niedźwiedzia, nad niem w głowach, przy wizerunku cudownej Paniienki, zawieszona srebrna, misternie wyrobiona lampa, boczną ścianę ubierał rzadki zbiór broni, w którym widziałeś flinty krajowe, garłacze i tureckie

janczarki słońową wykładane kością, a dalej całą kolekcję szabel i jataganów, nawet francuzka szpada zaplątała się tu jakby przypadkiem. Biórko, komoda, stoły i stoliki kolbuszowskiej roboty, dość drogo w one czasy płaconej, koło drzwi ogromna, w ścianę wmurowana szafa, a w niej porządkiem lat ułożone fascykuły lustracyjne, za wszystkie lata służby pana Łukasza z potrzebnymi aneksami, objaśnieniami itd.

Nie potrzebujemy dodawać, że starzy przyjaciele co dnia się widywali; a że wojski nie domagał na nogi, podskarbi więc zaraz po mszy dążył do jego dworku i przesiadywał tam do późnej nocy. Tak trwało lat wiele. Stosunki między Nowiną i Patkiewiczem prawie nie ulegały zmianie; drugi pierwszego zawsze w ramię całował, nie siadał bez zaproszenia w jego przytomności, a nawet siadając, koniuszek stołka zajmował, skromnie tylko na pytania odpowiadał, zmuszony zaś, co się rzadko zdarzało, przez pana Łukasza do wyjawienia osobistego zdania w kwestyi, która była przedmiotem dyskusyi, tak się krztusił, tak jąkał, aż sam gospodarz go nie wyręczył, a gość już poprzestawał na aprobacie, w jednej zawsze formułce wypowiedanej.

Dość wesoło czas upływał w dworku wojskiego. Często doń zaglądali goście, a choć ich zabrakło, to i towarzystwo domowe wystarczało, znajdowała się bowiem pod strzechą wojszczanka, młoda panienka, wypełniająca życiem i szczebiotaniem wszystkie zakątki domostwa. Jasnowłosa ta Marynia wpadła w oko synowi Patkiewicza; wiedzieli o tem obaj ojcowie, a choć nigdy ze sobą o inklinacyi owej nie mówili, szczerze jednak jej przyklaskiwali. Tylko ciotka dziewczyny, stolnikówna braćlawska, leciwa panna, pod której opieką zostawała sierota, gorszyła się tym stosunkiem, bo według niej to i wojewodzie za mało dla pupilki... Nowina śmiał się w duchu z tych pretensyi, a widząc, że Kalasanty statecznie postępuje, zapragnął go wdrożyć do roli, i w tym celu oddał mu w dzierżawę własny ziemi kawałek, na którym młody gospodarz brał się, jak to mówią, na pazury i wiodło mu się wcale szczęśliwie.

Spokój więc panował w tem kółku. Wspomnienie przeszłości, jej chwil pięknych i pogodnych, a nawet trosk, jakie dało życie ubiegłe, wszystek czas wypełniało dwóm starcom. I byłoby tak do grobowej deski, gdyby nie to nie-

szczęśne zamiłowanie w rachunkach, które trawiło Patkiewicza nieustannie.

Do niepoznania odmieniał się ten człowiek, kiedy ujrzał przed sobą papier zapisany cyframi¹ a czem ich więcej było, im zadanie bardziej zawikłane, tem więcej energii biło mu z twarzy, tem żywiej połyskiwały oczy, podczas gdy duże wyłysiałe czoło bruździło się zmarszczkami. Wówczas brał rażno pióro do ręki, przycinał koniec nożykiem, próbował na paznociu, potem podnosił do światła, a przekonawszy się, że wytrwa i nie zepsuje się podczas roboty, zasiadał do niej z taką ochotą, jak smakosz do uczyty, zmysły łechtającej przyjemnie.

Znali dobrze tę słabość oficyaliści księcia generała, i często podsuwali panu Tomaszowi do zweryfikowania rozmaite rachunki. Ale to nie sprawiało wielkiej rozkoszy podskarbiemu, do zupełnej satysfakcyi potrzebował on całego stosu cyfr i wówczas zbijał je w jedną masę, rozbijał z kolei na najdrobniejsze ułamkowe pozycye, tak atoli, żeby ten drobiazg powołany do szeregu, znowu uformował cyfrę jednoznaczną z tą, z której powstał pierwiastkowo. A czyż mogli mu takiego tematu dostarczyć jednokluczowi oficyaliści? Inna

rzecz, kiedy majątek był w masie. I przypominały się panu Tomaszowi lata młode, pierwsze popisy na polu lustracyjnem w kancelaryi wojskiego. Prosił więc pana Łukasza, aby mu pozwolił przeglądnąć owoc jego czterdziestoletniej pracy. Nie dziwiła wcale Nowiny ta propozycya i on wiele przywiązywał znaczenia do owych foljantów, i nawet sam często do nich zaglądał, nazywając je swoją biblioteką.

Patkiewicz pragnąc się nasycić, jak można najdłużej, lekturą tak dla siebie przyjemną, jedną księgę wertował zwykle cały tydzień, a z jakąś troskliwością obwijał ją w papier a potem w kraciastą chustę, z jaką powagą dźwigał, krocząc do swego mieszkania wieczorem. Nazajutrz i mszę opuszczał i do pana Łukasza nie zaglądał wcale; budził się o brzasku, a po króciutkim pacierzu rozkładał foljant, czytał i weryfikował wszystkie pozycye. Szło to dobrze z początku; ani jednego nigdzie błędu nie znalazł. Jak w rozumnie uorganizowanym przez zręcznego wodza obozie, wszystkie placówki należycie rozmieszczone czuwają we dnie i w nocy, tak i tutaj po za linią obejmującą szczegóły, występowały cyfry sumę owych szczegółów reprezentujące; jak w czujnym obozie

pozycyjne działa skierowane są w stronę, kędy wyłom zrobić należy, tak i tutaj czoło rachunku stanowiła *percepta*, mózdzierze ciężkiego wagiomiaru, bo liczby miliony w sobie zawierające. Za milionami szła *expensa* — to pojedyncze ładunki, rozsypane na najdrobniejsze pyłki. Konstrukcyja na pozór prosta, należało jednak dużo mieć doświadczenia, aby w tym chaosie nie zabłądzić.

Pan Tomasz nie zabłądził; wszakże duch pychy go opętał, chęćka znalezienia choć jednej omyłki kusiła go nieustannie. Namiętność wzięła górę nad skromnością, stary rachmistrz chciał odegrać rolę cenzora i korektora czynności wojskiego, swojego dobroczyńcy i mentora. Patkiewicz brał księgi z kolei, rozpatrywał się w nich pilnie z surowym obliczem sędziego; nie była to już miłość, przeciwnie, intencye niedobre.

Stary Nowina ani się tego domyślał, widział wprawdzie zmianę w podskarzim, przypisywał ją wszakże zbyt niemu natężeniu umysłu. Pewnego razu jednak stawił się przed nim stary Patkiewicz w niezwykle ранней godzinie, a zbliżywszy się do gospodarza i nie dając mu przyjść do słowa, zawołał ponuro:

— Znalazłem!

I jednocześnie złożył na stole z tryumfem inkwizytora pożyczony foliant.

— Cóż znalazłeś, kochany panie Tomaszu? zapytał trochę zdziwiony wojski.

— Omyłkę, znaczną omyłkę! Tam! — dodał wskazując na księgę.

Krew uderzyła do głowy staremu lustratorowi. Zrozumiał o co rzecz idzie, zagryzł usta, odchrząknął — widocznie na dobre imię jego dybał stary przyjaciel. Miał jednak tyle siły, że się od wybuchu powstrzymał, i głosem spokojnym acz zmienionym zapytał:

— Gdzież to waść ten błąd odszukałeś fatalny?

— W lustracyi z 1756 r., *titulo*: dobra klewańskie! O całych 60 złotych i groszy dziesięć mniej pokazano w ogólnej sumie percepty, niżli jest jej w pojedynczych pozycjach.

Mówił to głosem pewnym, jak prokurator czytający akt oskarżenia.

Wojski aż zamknął oczy, tak go przeraziły te słowa. Niemy stał przez chwilę, a potem jakby się wstrząsnął, powstał, zbliżył się do szafy, wyjął sumaryusz lustracyjny, i siadając

przed stołem, imponującym gestem wskazał Patkiewiczowi miejsce obok siebie i dając mu ową nieszczęsną księgę, powiedział:

— Należy skonfrontować, mości podskarbi! Sześćdziesiąt złotych i groszy 10 — to nie bagatela, zwłaszcza kiedy się z nich korzystało całych lat 24, choć Bóg mi świadkiem, że niewinnie! — dodał wzruszony.

Gdyby w tej chwili opamiętał się był pan Tomasz, obeszłoby się bez burzy... ale gdzie tam, pod wpływem namiętności liczbowej stracił rozum i zapomniał o wszystkim. I dwaj starcy, jakby szło o losy Rzeczypospolitej, przystąpili do dziwnej roboty. Nowina ochryplym głosem czytał kartę po karcie, cyfrę po cyfrze, notując je na boku, Patkiewicz jak automat czynił to samo.

Upłynęła godzina... Potem dwie, trzy...

Wyświeżona Marynia, jak jasne słońce wpadła do pokoju, aby ojcu oddać dobry dzień, przymilić się do niego, uśmiechem młodości orzeźwić staruszkę. Ale zamiast wyciągniętych ramion, usłyszała głos suchy, rozkazujący:

— Proszę nam nie przeszkadzać!

Znowu kilka długich upłynęło godzin.

Pan Łukasz był bez śniadania; kobiety już się niepokoiły. Siostrzenica złożyła cioci relację o niefortunnej do kancelaryi ojca wycieczce, o tem jak groźnie wyglądał Patkiewicz, jak nie pozdrowił jej nawet... Co tu robić? Sama stolnikówna wyruszyła na zwiady: słucha... liczą ciągle... Może, broń Boże, układają się o posag Maryni, nabiera więc odwagi, popchnęła drzwi z lekka, chrząknęła dyszkantowo, aż tu naraz, jak grom z pogodnego nieba, zagrzmiął głos wojskiego:

— Proszę nie przeszkadzać!

Cofnęła się stolnikówna rozdąsana, pocieszając się tem, że jej nie spostrzegł, i że nie z despektu, ale z nieuwagi taką jej dał odprawę, wiedziała przecież, że był zawsze grzecznym dla dam na estymę zasługujących...

Kilkanaście godzin trwała walka weryfikacyjna; obie strony wyęźżały wszystkie siły, aby utrzymać pozycję... w końcu jednak Patkiewicz został pobity na głowę! Kroplisty pot lał mu się z czoła, w oczach zaognionych były łzy żalu, ręce złożył jak do modlitwy.

Wojski zdawał się tego nie widzieć, podniósł się z krzesła, jak groźny bóg potępienia, i zamykając facykuł, powiedział:

— Nie darmo rachmistrzowałem, mości podskarbi, nie darmo chleb jadłem miłościwych książąt, zarzut niedbalstwa nie ciąży na mnie, dzięki Stwórcy, choć wam się podobało, posądzać o nie starego towarzysza!

Skończył. Nie patrząc nawet w stronę, kędy siedział p. Tomasz, ręce w tył założył i z głową dumnie podniesioną zbliżył się do okna, jakby o gościu zapomniał.

Patkiewicz upokorzony, przybity, wyniósł się z izby niepostrzeżony.



VI.

Starzy przyjaciele zerwali ze sobą. Patkiewicz odchorował katastrofę, o czem wojski nie wiedział, a może i wiedział, ale udawał że nie wie. Jeden proboszcz, ów zwolennik Barszczyzny, mógłby pogodzić zwaśnionych, ale staruszek już dawno spoczywał w grobie. Marynia nie miała odwagi podnieść głosu w tej sprawie. Kalasanty unikał spotkania z panem Łukaszem, i raty dzierżawne wypłacał mu przez pośrednictwo brata panienki, który służąc na dworze księcia generała, co roku odwiedzał ojca. Stolnikówna śmielsza od innych, raz, ale to raz tylko, korzystając z dobrego humoru szwagra, rozpoczęła niby przypadkiem rozmowę od zapytania:

— Co to jest, żeśmy już tak dawno nie widzieli pana Tomasza?

Wojski nie odrzekł nic, ale spojrział na nią tak surowo i groźnie, że się biedaczce odechciało wszeczynać kwestyę rozpoczętą.

Podskarbi chodził jak winowajca, nawet stracił do rachunków zamiłowanie; bo mnogość cyfr mówił, jak zawieja w stepie na błędne może sprowadzić drogi, zwłaszcza kiedy głowa stara, a oczy wypowiadają posłuszeństwo.

Marynia płakała, kawaler jej odgrażał się, że do wojska wstąpi i zginie na wojnie z rozpaczy; a ciocia wówczas robiła minkę kondolencyjną, choć w duchu pewnie rada była, że się ta niemiła partya rozbić może.

Tak rzeczy stały do 1783 roku, to jest do pamiętnego przyjazdu generała ziem podolskich. Czartoryski zwiedzał wszystkie dobra, z kolei więc i o Międzyboszczynę zawadził. Bernatowicz, rządca i przyjaciel domu Czartoryskich, mieszkał w Mikołajowie, tam więc przygotował apartamenta na przyjęcie pożądaných gości. Nie łatwa to jednak była sprawa, dwór bowiem liczył do 200 osób, a dźwigało go 400 koni i 6 wielbłądów. Na domiar kłopotu liczni sąsiedzi zbiegli się ze wszystkich stron na powitanie popularnego magnata.

Niemcewicz szczegółowo opisał tę podróż w swoich pamiętnikach. Ubogie miasteczko wyglądało świątecznie, pełno w niem było zgiełku i wrzawy. Na komisaryi zamieszkał dziedzic z rodziną, i tu odbywały się recepcye; dworzanie zaś rozlokowali się po stodołach kmiecyh.

Naturalnie, że i nasi starzy znajomi nie omieszkali złożyć należnego hołdu pierwszemu w Rzeczypospolitej panu. Księżę Adam znał ich dobrze, o żadnym nie zapomniał. Witał zarówno szczerze wojskiego jak i Patkiewicza; zdziwił się wszakże spostrzegłszy, że przyjaciele stronili od siebie... Z początku brał to za prosty przypadek, ale w końcu przekonał się, że jest istotnie między nimi nieporozumienie. Wieczorem więc, kiedy się goście rozjechali, wziął na konfesatę Bernatowicza, który opowiedział mu ze szczegółami przyczynę całego gniewu, a stąd boleść młodej wojszczanki, rozpacz Kalsantego i t. d. Słowem wszystko, o czem czytelnik dowiedział się z poprzedzającego rozdziału, jeżeli miał cierpliwość przebiec go od początku do końca.

Uśmieł się książę generał serdecznie z dzwactwa starych oficyalistów, i cieszył się, że

umiał ludzi wybierać. Godziło się jednak tę skrupulatną, aż do śmieszności posuniętą uczciwość starych sług uszanować. Księżę postanowił sam pożądaną przywrócić zgodę. Na drugi dzień zaraz posłano po obudwu Patkiewiczów, z którymi odbył generał sekretną konferencyę, tak uprzejmą, że obaj wyszli od niego uszczęśliwieni.

W kilka dni później ruch niezwykły panował w dworku Nowiny, ale tylko na stronie niewieściej i w kuchni. Robiono przygotowania na przyjęcie gości. Jeden pan Łukasz o niczem nie wiedział. Nagle dają mu znać, że księżę w odwiedzinę przyjechał. Nie poruszyło to zbytecznie staruszka, bo przyzwyczał się do podobnych wizyt; łaskawy pan, ilekroć zaglądał do Międzyboża, nie ominął nigdy jego ubogiej strzechy.

Wywłókł się stary sługa na ganek i wprowadził z rewerencyą dostojnego gościa do izby bawialnej.

Ciocia, ucieszona z wysokiej wizyty, odmłodziła do niepoznania, twarz oblepiła bielełdłem, pod którego warstwą znikły zmarszczki, parę czarnych muszek, jakby od niechcienia rzu-

conych na malowane policzki, świetnie odbijało na tle śnieżystem, podczas gdy oczy roztkliwione, pełne nieziszczonych nadziei, z uwielbieniem spozierały na dygnitarza. Marynia w białą sukienkę przystrojona, nie chowała się w kąty, ale i nie wysuwała się naprzód, była naturalną, tylko wzruszoną. I ona jak w tęczę patrzyła w księcia, a na twarzyćce jej malował się niepokój z dobrem przeczuciem połączony.

Dostrzegł wprawdzie pan Łukasz metamorfozy w ubiorze pań, ale policzył to na karb przebiegłości właściwej białogłowom, snać przeczuły, że księżę pan wstąpi w jego niskie progi.

Generał parę grzecznych słów rzucił damom, Maryni coś szepnął do ucha, aż cała spłonęła, potem obracając się do Nowiny, powiedział:

— Proszę cię, mości wojski, o chwilę rozmowy na osobności.

Nowina zaproponował płci pięknej, aby z izby ustąpiła; ale się gość nie zgodził na to.

— Chodźmy raczej do kancelaryi waćpana — i nie czekając na pozwolenie, sam podążył naprzód.

— Oto, kochany Nowino, zaczął, kiedy już byli na miejscu, przykrość ci zapewne wyrzadzę, ale sumienie mi tak postąpić każe.

Wojski z przerażeniem spojrział na swego chlebobawcę.

— Proszę cię, mówił dalej generał, abys zaraz księgi lustracyjne, wszystkie, jakie się u ciebie znajdują, odesłał do archiwum; Bernatowicz przyjmie i pokwituje.

Pan Łukasz oniemiał, smutek go wielki ogarnął.

— Nie chcę, ciągnął gość dalej, aby te stare foljanty stawały się powodem zgorzenia.

— Zgorzenia! zawołał gospodarz.

— A jakże nazwać twoje z Patkiewiczem nieporozumienie? Wiem o wszystkim; jemu to darować jeszcze można... stary dziwak, utonął w liczbach, bawi się ich szykowaniem jak strategią, wreszcie człowiek bez nauki, ale ty mości wojski, z doświadczeniem nie lada, a przytem dobry chrześcianin... I kiedy twój przeciwnik szuka sposobów przeproszenia ciebie, ty się nie zgadzasz i nosisz w sercu rankor tak długo!... A godziż się to? Dawniej byłeś pobłażliwszy;

łatwiej mi przebaczyłeś, kiedy cię na niemiłe spotkanie z Barszczanami naraziłem.

Przypomnienie konfederatów, dowody subtelnej pańskiej delikatności, do tego stopnia ujęły za serce wojskiego, że się przyznał do winy i przyobiecał poprawę.

— Dobrze tedy, stary przyjacielu, ozwał się książę ze słodkim uśmiechem, książek więc twoich nie ruszę. Ale na tem jeszcze nie koniec. Ja tu od biednego Patkiewicza przyjechałem z submisją pokorną, abys Marysię wydał za jego syna.

— Przeciwno temu nie mam nic mości książę, ale nie wiem, czy...

— Czy się panna zgodzi? No, chodźmy, wstawię się sam do wojszczanki za chłopcem.

Wstawienie się to nie było potrzebem. Nawet ciocia wobec tak wysokiej protekcji nie protestowała. W kilkanaście chwil przybył Bernatowicz z Patkiewiczem i jego synem, a zaraz potem spory poczet dworzan księcia z kapelą na czele...

Ledwie nad ranem rozjechali się goście, cała noc zesła na tańcach. Zostali dwaj starzy przyjaciele. Wojski szeroko rozwarł ramiona i zawołał z głębi serca:

— Zgoda i zapomnienie, panie Tomaszu.

— Dziękuję i przepraszam! rzekł p. Tomasz wzruszony, całując w ramię swojego mentora.

— Otóż i zrękowiny najniespodziewańsze! Cieszę się z tego nie mało; książkę pan twemu chłopcu dał wioskę w dzierżawę, mojego wcielił do gwardyi litewskiej. Pamiętny dzień w życiu! Patkiewicz płakał z radości.

* * *

Wypadałoby na tem zakończyć opowiadanie... Ale niejednen zapyta autora, skąd treść wzięta do niego? Należy się odpowiedź pobłażliwemu czytelnikowi. O księgach lustracyjnych, układanych przez Łukasza Nowinę, już na wstępie wspomniałem; tutaj dodam, że przy nich znajdował się zeszytek, z kilku kart złożony, z tytułem *Pamiętniczek mojego ojca*, skreślony niewprawną kobiecą ręką.

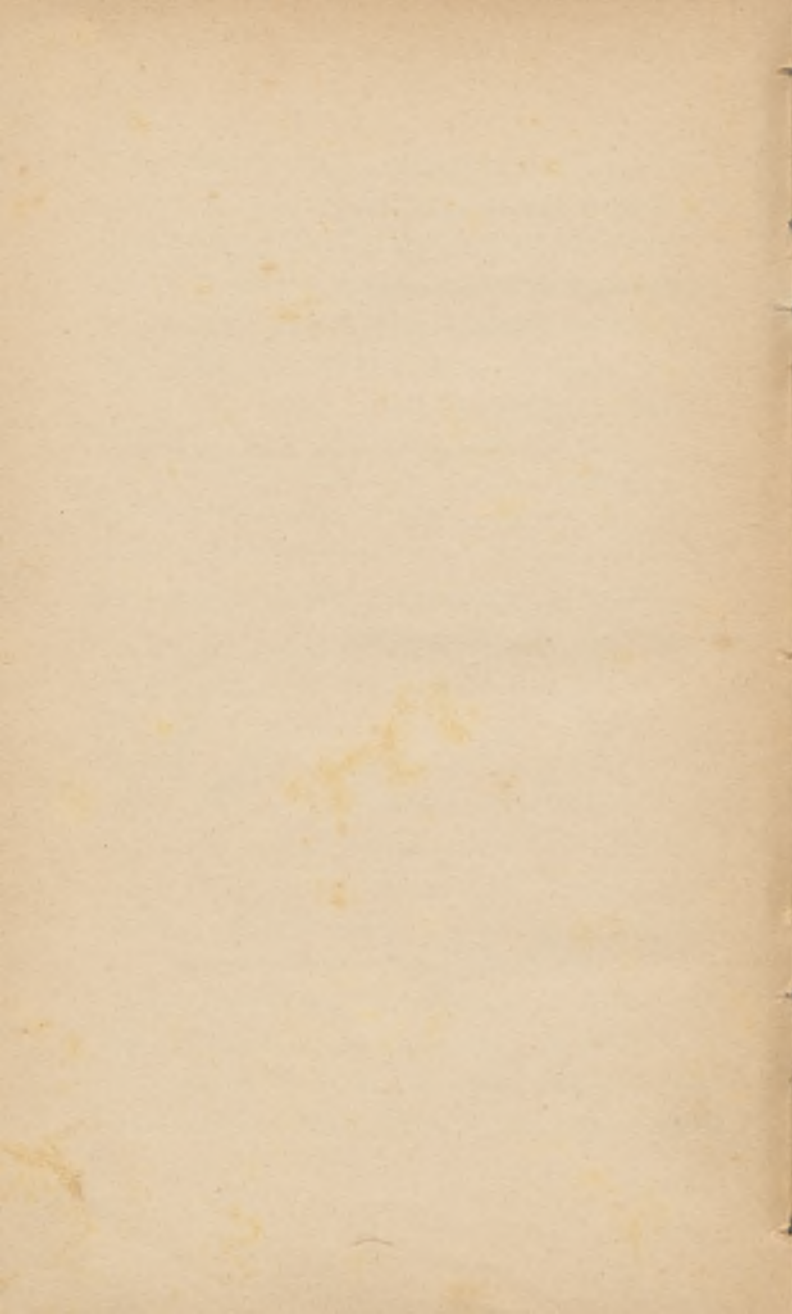
Na końcu tego zeszytu kilkanaście wierszy, tymże charakterem nakreślonych, zawierało daty zgonu wojskiego i podskarbiego, którzy prawie jednocześnie, podczas sejmu czteroletniego, przenieśli się do innego świata. Dalej szła krótka

ale wymowna wzmianka: Roku Pańskiego 1794 zostałam sierota wraz z jedynakiem. Kalasanty Patkiewicz, mój mąż i brat Jan Nowina, rotmistrz kawaleryi narodowej, poległ pod Maciejowicami. Wieczny odpoczynek racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci! Niech odpoczywają w pokoju! Amen“...

Cały dramat zamknięty w tych prostych przez łzy pisanych słowach... Pokora stoi na wysokości ofiary... Poszli i nie wrócili już nigdy, jak ich przodkowie na kresach osiedli... jak ich wnukowie.. jak niejedno jeszcze pokolenie pójdzie — i zginie bez wieści.

KONIEC.





WYDAWNICTWA

księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA we Lwowie.

Au Dr. I. Nauka rachunkowości gospodarstwa wiejsk.	2.—
Dr. Barański Antoni. Chów koni. Poprzedzony wykładem ogólnych zasad hodowli zwierząt gospodarskich, z 21 rycinami, rysunki koni polskich Juliusza Kossaka	6.80
Barta A. O własności i uprawie roli	—50
— O nawozach	—60
Blauth I. Melioracya łąk i pól w Dublinach	—40
Ciesielski Dr. T. Miodosytnictwo czyli sztuka przetwarzania miodu i owoców na napoje	1.50
— Bartnictwo. Cz. I. Przyroda pszczół	2.50
Flamm. Współki rolnicze ekonomiczne	1.50
Franke. Poradnik dla maszynistów. Wyd. II.	2.40
Gawarecki. Sposoby powiększania urodzajności drzew owocowych	—50
— Pielęgnowanie i chów bażantów i perlic	—40
Grus Brzoza, jej opisanie, uprawa i znaczenie w gospodarstwie leśnem	—60
— Przypomnienia czynności gospodarczych na każdy miesiąc dla leśnika, łowczego i t. p.	1.20
— Ściółka leśna	—50
Kokurewicz M. O uprawie chmielu	—40
Kretowicz Paweł. Kucie koni. Opracował lekarz weterynaryi i nauczyciel kucia koni. Z rycinami	1.50
Machts. Nauka o oszacowaniu majątków ziemskich	1.20
Patzig G. C. Praktyczny rządca ekonomiczny według wymagań tegoczesnych 2 tomy	4.20
Pilat. O rencie gruntowej tom I. Historia przychodów z ziemi	1.50
Rylski Tomasz prof. Narzędzia i maszyny rolnicze	1.20
— Podręcznik mechaniki rolniczej dla gospodarzy praktycznych. Wybór i użycie narzędzi i maszyn rolniczych, z 120 rycinami w tekście	3.—
Schmidt Antoni. Katechizm hodowania drzew owocowych, jakoteż rozpoznawania owoców i robienia jabłecznika	—80
Tyniecki Wł. Zgnilizna kartofli	—50
Ustawa lasowa, ustawy łowieckie i ustawa o ochronie własności polnej	1.—

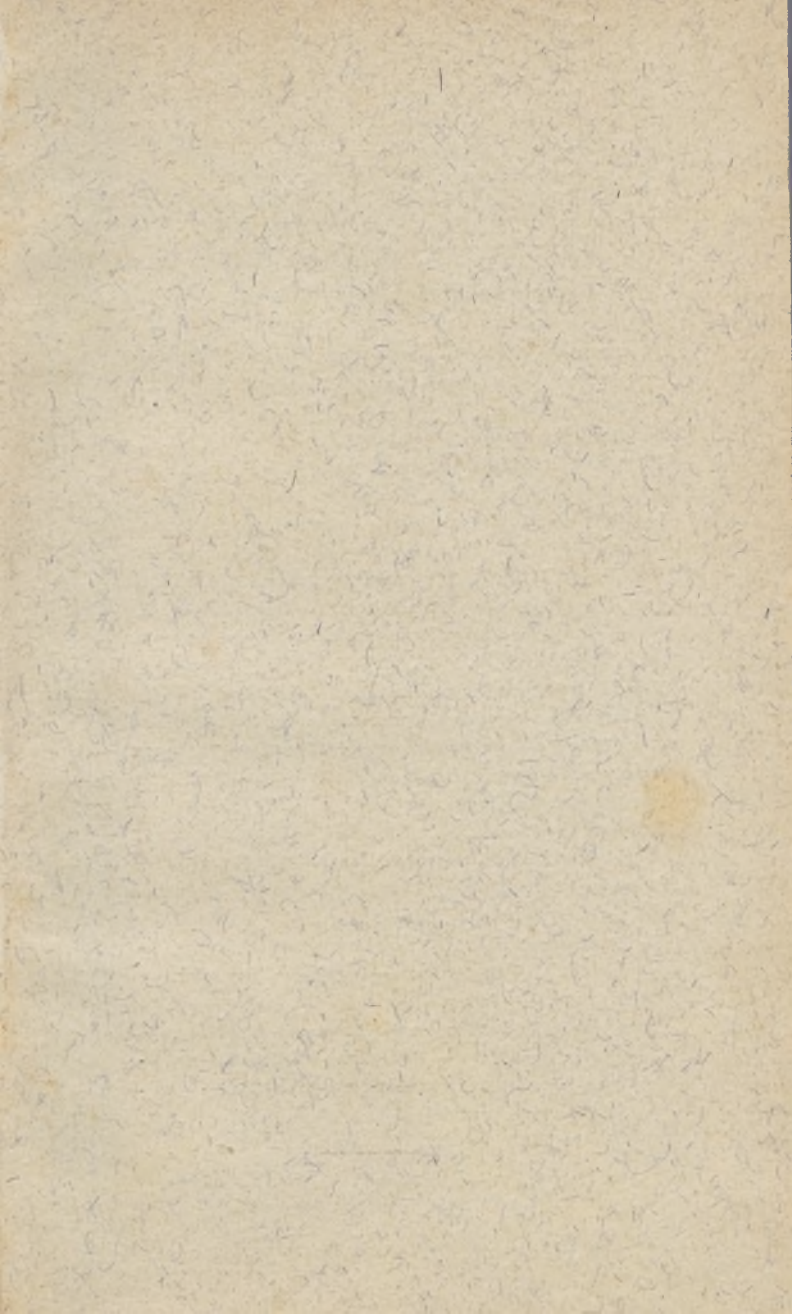
WYDAWNICTWA

księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA we Lwowie.

Baranowski Miecz. Pedagogika i dydaktyka do użytku nauczycieli szkół lud. i seminariów nauczycielskich	1.40
— Zarys higieny szkolnej. Wydanie drugie przejrzone i rozszerzone	1.12
— Przepisy praktyki szkolnej, obejmujące: Przegląd ustaw szkolnych, krajowych i państwowych, Regulamin, Najnowsze plany naukowe dla szkół ludowych posp. i wydz., Statut organizacyjny nauki dopełniającej i Przegląd rozporządzeń władz szk.	1.60
— O nauce gospodarstwa domowego w szkołach żeńsk.	—.40
Boberski i Falkiewicz. Praktyczny przewodnik dla nauczycieli szkół lud. i posp. i kandydatów nauczycielskich. I cz. zł. 1.40, II cz. zł. 1.80, razem	3.20
Cenar E. Gry gimnastyczne młodzieży szkolnej z 12 tabl.	—.45
— Ćwiczenia gimnastyczne laską żelazną, drewnianą i żerdzią, zarys ginnastyki szkolnej z 110 rycinami	1.20
— Urządzenie sal i boiska gimnastycznego, praktyczne wskazówki dla nauczycieli etc. z 6 tablicami	1.20
Cybulski Karol. Podręcznik rysunkowy z wzorami w 32 osobnych tablicach	1.60
Gaultier Z. E. K. Geografia powsz. w. IX przez Ł. T.	—.90
Małecki Dr. Ant. Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego, 2 tomy	6.—
Rodecki Czesł. Dr. Fizyka dla niższych szkół gimnazjalnych i realnych wyd. 3 pomnożone i podług planu ministeryalnego ułożone	1.70
Zajączkowski Wł. Dr. Geometria analityczna, cena niższa	1.50
— Zasady algebry wyższej	3.80

MAPY i ATLASY.

Baur. Mapa ścienna austro-węgierskiej monarchii 5.60, na płótnie zł. 9, z wałkami	10.—
Doleżał. Galicya zł. 6, na płótnie zł. 9, z wałkami	10.—
Haardt. Atlas szkolny	— 60
Kazenn. Atlas szkolny	3.—
— Mapa Europy zł. 3.40, na płótnie 5.80, z wałkami	6.80
— Palestyna zł. 2.80, na płótnie 4.50, z wałkami	5.60
— Półkule zł. 2.80, na płótnie 4.80, z wałkami	5.80



WYDAWNICTWA DRUKARNI LUDOWEJ

we Lwowie, plac Bernardyński 7.

w komisie księgarni Gubrynowicza i Schmidta.

- Andersena** fantastyczne opowieści, w nowym przekładzie Wandy Młodnickiej, z 26 rycinami, w ozdobnej oprawie 2.25
- Czytania majowe** przez ks. St. Załęskiego T. J. —.35
- Filotea czyli droga do życia pobożnego**, przez św. Franciszka Salezego. Cena bez oprawy —.75
- Hygiena życia powszedniego**, przez Dra Stellę Sawickiego, inspektora szpitali galicyjskich, zalecona przez krajową Radę szkolną, jako podręcznik szkolny dla młodzieży w szkołach wydziałowych żeńskich. Reskrypt krajowej Rady szkoln. z 23 października 1886 l. 15.238 1.—
- Książd Bosco**, przez Dra Karola d'Espinay, jedyny przekład z upoważnienia autora dokonany, a zawierający opis cudów przez ks. Bosco wyjedpanych —.50
- Rytmy narodowe**, przez T. Lenartowicza 2.—
- Chorągiew słowiańska** przez T. Lenartowicza —.15
- Tadeusz Rejtan**, Litwin, dobrze miłujący Ojczyznę. Opowiadanie historyczne, przez J. Zubrzycką —.15
- Syberya**, opowiadanie według pamiętników spisanych przez wygnańców polskich.
- Treść: Część I. Prześladowanie Polaków. — Cytadela warszawska. — Wyjście na sybir. — Pochód. — Etapy.
- Część II. Syberya. — Pobyt na wygnaniu. — Życie więźniów. — Ucieczka wygnańca. — Podróż pieszo przez cesarstwo moskiewskie. — Przejście granicy pruskiej —.30
-

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

197025

Biblioteka WSP Kielce



0065449